



Piaseczno

Projekt sfinansowany ze środków gminy Piaseczno

# HISTORIE ODNALEZIONE #6

## Przeżył... Pomimo

**Jest rok 1995. Przed domem na trawniku stoją dwa konie, a właściwie dwa koniki polskie. Przygląda im się mężczyzna – na jego twarzy widać radość i zadowolenie. Stojąca obok córka Irena, dawno nie widziała takiego wyrazu szczęścia na twarzy ojca. Mężczyzna mówi: „Spełniło się moje największe marzenie”, uśmiecha się radośnie.**

Kim jest ten człowiek? To Janusz Meissner, który za odszkodowanie za areszt i tortury, które przeszedł w stalinowskich więzieniach, mógł spełnić życiowe marzenie. Jak do tego doszło? Co się wydarzyło w jego życiu?

Musimy cofnąć się w czasie o wiele lat.

Jest rok 1946, Kielce. Młodzieńcy 17-letni Janusz Meissner, syn leśnika z Drewnicy, harcerz Szarych Szeregów, zakłada tajną organizację. On i jego kilkoro przyjaciół tworzą konspiracyjną grupę, która nazywa się Plumbum – co po łacinie znaczy – ołów. Jest jej przywódcą. Młodzi nie godzą się na obecną rzeczywistość. Wychowani w duchu patriotyzmu i hasła wolnościowych, po zakończeniu wojny i wkroczeniu Sowietów, nie widzą przyszłości ojczyzny, pod butem kolejnego najeźdźcy. Tajna organizacja działa krótko, gdyż zostali zdradzeni. Młodzieńcy 17-letni Janusz i jego koledzy zostają aresztowani. Sąd orzekł, że „działalność pozaustrojowa i dążenie do obalenia władzy” musi być surowo ukarane. Januszowi groził wyrok śmierci. „Litościwy” sąd, biorąc pod uwagę jego młody wiek, skazał go na piętnaście lat więzienia. Spędził w nim pięć lat: od 5 marca 1946 roku do 5 marca 1951 roku. Funkcjonariusze śledczy znęcali się nad młodym siedemnastoletnim chłopcem. Był on torturowany przez bezpiekę: zmuszany do siedzenia na nodze odwróconego stołka, wieszany i podciągany do góry za związane do tyłu ręce, bity i łżony, często karany karcerem. Niewiele lepsi byli strażnicy w Rawiczu, Wronkach, Bydgoszczy, bo w tych więzieniach odsiadywał wyrok. Jego rówieśnicy chodzili do szkoły, zdawali maturę, studiowali.

Kiedy wreszcie opuszcza więzienie, ma nieco ponad 20 lat, o studiach nie ma co marzyć, ma zakaz studiowania. Kończy więc wieczorowo szkołę budowlaną i rozpoczyna dorosłe życie. Szuka, z wielkimi problemami, pracy i miejsca w swoim życiu. Szuka również miłości.

Poznaje Jadwigę Niewiadomską, studentkę medycyny. To z nią zwiąże swoje życie i stworzy dom, i rodzinę.

Kim była młoda Jadwiga Niewiadomska?

Jadwiga Niewiadomska wraz z rodzicami, braćmi i młodszą siostrą, mieszkają w czasie okupacji w Warszawie przy ulicy 3 Maja. Tam zastaje ich Powstanie Warszawskie. Dwaj starsi bracia poszli do Powstania. W domu zostają same kobiety, trzynastoletnia Jadwiga i jej dziesięcioletnia siostra Alina, mama spodziewa się dziecka, w każdej chwili może ono pojawić się na świecie. Tak jak wszystkich warszawian wypędzono rodzinę Niewiadomskich z domu i wywieziono z miasta. Kobiety nic nie wiedziały o losie synów i ojca. W Milanówku rodzi się najmłodszy Michał. Za kołyskę służy mu walizka, o którą co chwila ktoś się potyka. Matka chroni i maleństwo, i córki. Osłoną dla noworodka jest wieko od walizki. Bardzo dzielnie pomaga jej trzynastoletnia Jadzia.

Przygarnia ich kuzynka z Zalesia Górnego, pani Janina Pieślakowa z ulicy Złocistych Łanów.

I tak rozpoczyna się zalesiański, ważny epizod w życiu obu rodzin. Rodzina pani Jadwigi odnajduje się tu, są szczęśliwi, że wszyscy przeżyli. Dzieci rozpoczynają naukę. A ojciec Jadwigi, Stanisław Niewiadomski, zostaje profesorem i kierownikiem katedry Politechniki Warszawskiej. W 1949 roku otrzymuje mieszkanie w Warszawie przy ulicy Asfaltowej, w budynku profesorskich pracowników naukowych Politechniki. Jadwiga, mimo przeprowadzki do stolicy, dojeżdża do Liceum im. Emilii Plater w Zalesiu Dolnym, gdzie zdaje maturę. Dostaje się na medycynę i kończy ją. Jako specjalizację wybiera pediatrię.



Jadwiga i Janusz Meissnerowie – archiwum prywatne.

Młodzi Janusz i Jadwiga poznali się, pokochali i postanowili założyć rodzinę.

Jadwiga, jako lekarka, nie miała problemów ze znalezieniem pracy. Natomiast Janusz... Gdy zatrudniał się, musiał okazać zaświadczenie o niekaralności. Zmieniał często pracę, bo jako antyssystemowiec i ten, który chciał obalić ustrój, był wyrzucany z pracy, gdy tylko do zakładu docierały dokumenty o jego skazaniu. Chyba że trafił na przyzwoitego kadrowca, który odpowiadał za czyste konta zatrudnianych pracowników. Taki też się trafiał, choć od razu mówił, że długo nie może ukrywać w tajemnicy przed dyrekcją faktu pobytu Janusza w więzieniu i że niedługo będzie musiał on szukać nowej pracy. Tego nastoletnia Irena nie mogła zrozumieć. Mama codziennie wychodziła do pracy, a tata, bywało, że zostawał w domu. Nie pytała dlaczego – widocznie tak musiało być.

Jedni i drudzy rodzice pomagali młodej rodzinie jak mogli. Tym bardziej, że studia medyczne były wymagające, trudne i długie. Pani Jadwiga marzyła o chirurgii dziecięcej. Pracowała w Instytucie Matki i Dziecka przy ulicy Kasprzaka a od 1959 roku została w Zalesiu nie tylko pediatrą ale także lekarzem ogólnym.

Miłość do Zalesia państwa Niewiadomskich owocuje kupnem działki przy ulicy Akacjowej i budową domu. To tam młodzi Meissnerowie sprowadzają się z Warszawy i rozpoczyna się w kolejny akt w zalesiańskiej historii tej rodziny.

Na świat przychodzą dzieci: Irena, Jarek i Jasiek. Chodzą tutaj do szkoły. Pani doktor po urodzeniu najmłodszego syna zostaje lekarzem pediatrą w Zalesiu Górnym i lekarzem w zalesiańskiej szkole. Nie ma chyba już dorosłego mieszkańca Zalesia, który nie spotkałby na swojej drodze doktor Jadwigi Meissner.

Dzieci dorastają: Irena ma już 14 lat i decyduje się przenieść do Warszawy – do dziadków. Tam kończy liceum, a potem kontynuując tradycję rodzinną, zdaje na medycynę i tak jak mama jest pediatrą. Janusz wciąż poszukuje pracy. Było tak do lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Jak bardzo musiał czuć się źle, żyjąc w poczuciu, że ma na utrzymaniu rodzinę. Inni szli do pracy, a on ciągle jej szukał. Rodzina powiększała się. Utrzymanie domu i rosnących dzieci było wyzwaniem dla Janusza.

Przez pewien czas pracował w założonej przez siebie betoniarni; potem przez dwa lata w Bieszczadach, budując osiedla dla leśników. Syn Jarek wspomina, że to tam w Bieszczadach, mając kilka lat, złapał bakcyła samochodowego, gdyż był pupilkiem kierowców i ci uczyli go prowadzić wielkie ciężarówki. Nie tylko tego go nauczyli. Gdy wrócił z wakacji do zalesiańskiego przedszkola, wyleciał z niego po jednym dniu, gdyż strasznie przeklinał. Miał wrócić, gdy znacznie lepiej się wyrażać. Najmłodszy syn Jan, zwany w rodzinie Jaśkiem, w niemowlęctwie ciężko zachorował. Choroba wpłynęła na jego psychikę. Od pełnoletniości wymagał opieki i troski rodziny. Był nią otoczony, aż do swojej śmierci w 2013 roku.

Starszy syn Jarek, zarażony bakcyłem motoryzacji, ukończył Policealne Studium Samochodowe. Ale zanim się to stało, już umiał prowadzić samochód osobowy. Z tym faktem wiąże się taka oto historia: doktor Jadwiga, oprócz pracy w ośrodku zdrowia w Zalesiu, jeździła też na wizyty domowe do chorych dzieci i jako lekarz szkolny do ościennych wiosek. Dostała więc przydział na syrenkę i właśnie siedmioletni Jarek, jako pierwszy zaczął ją jeździć po podwórku (nawet skasował błotnik o bramę), a potem po pustych uliczkach Zalesia. Mama nie lubiła prowadzić samochodu, więc gdy mąż nie mógł z nią jechać, jeździł z nią już dziesięcioletni Jarek. Żeby trochę poważniej wyglądać zakładał kapelusz i woził mamę na wizyty do chorych dzieci. W 1981 roku pani doktor przeszła na rentę i jako lekarz pediatra prowadziła prywatną praktykę, a adres Akacjowa 9 znają do dziś mamy, wtedy małych, zalesian.



Janusz Meissner – archiwum prywatne.

W pamięci pozostała jako niezawodna, z szeroką wiedzą, mistrzyni diagnozowania. Przeszła pracować w 2003 roku.

Janusz też nie próżnował. Ponieważ przyszła odwilż mógł rozpocząć działalność w budownictwie w Piasecznie, w Zalesiu, w Warszawie, a w Lidze Obrony Kraju uczył przyszłych kierowców. Dzieci nie wiedziały, co przeżył w młodości ich ojciec. Nigdy o jego przejściach się w domu nie mówiło. Ukrył to głęboko; niekiedy wybuchowy, zniecierpliwiony, znerwicowany, ale bardzo kochający rodzinę, za którą skoczyłby w ogień. Nadszarpnięte okrucieństwem w więzieniach zdrowie zaczęło mu szwankować, bolały go wyłamane brutalnie barki, pojawiło się drżenie rąk; przeszedł na rentę. Do końca życia nie lubił kaszy, bo przez pięć lat w więzieniu jadł ją na okrągło. To nie był też taki tata, który weźmie na kolana, przytuli, pocałuje; wymagał od dzieci, bo wymagał od siebie. Chciał, by osiągnęły w życiu wiele, bo sam wiedział, co to znaczy być odrzuconym, niepotrzebnym i niechcianym. Choć kochany przez bliskich, to odrzucony przez ojczyznę.

Zbuntowana, nastoletnia Irena niekiedy w złości i z żalem coś powiedziała ojcu. Dopiero babcia jej wytłumaczyła, skąd takie, a nie inne zachowania Janusza. Wtedy zrozumiała dlaczego był taki „daleki”, wyłączony, czasem zirytowany. Ale to były takie czasy, że dzieciom wielu rzeczy dotyczących przeszłości wojennej i powojennej się nie mówiło. Bo dzieci lubią dzielić się z innymi tajemnicami rodzinnymi. Pan Meissner wystąpił o odszkodowanie za poniesione moralne i zdrowotne straty i w 1990 roku je otrzymał. W 2011 roku, został zrehabilitowany i doceniony. Od premiera Leszka Millera uzyskał zaszczytny tytuł Weterana Walki o Wolność i Niepodległość Ojczyzny, od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego uzyskał stopień podporucznika Wojska Polskiego. Został członkiem Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, uznany za osobę represjonowaną.

Parę lat później spełnił swoje marzenie o posiadaniu koni. Mały i Hultaj, to imiona koników polskich, tak ochrzczone przez wnuczkę Ulę. Jeździły na nich dzieci i dorośli, a także młodzież niepełnosprawna z Warsztatów Terapii Zajęciowej z Zalesia Dolnego. Ta grupa była uprzywilejowana i nie płaciła za zajęcia. On sam tak mówił reporterce Gazety Wyborczej „zawsze marzyłem o koniach. Wychowałem się w lesie. Ojciec miał konie, a samochody mi się przejadły...”

Stąd ten radosny uśmiech na jego twarzy, gdy wreszcie konie stały się częścią jego życia.

Jadwiga i Janusz Meissnerowie odeszli w 2006 roku, w odstępie trzech miesięcy, żegnani przez wielu mieszkańców Zalesia, którzy do dziś wspominają swoją ukochaną panią doktor i pana Janusza, który uczył dzieci przepisów ruchu drogowego i przygotowywał do zdobycia karty rowerowej.

# O czym mówią drewniane domy

*Dom rodziny Oknińskich*

Na działce usytuowanej u zbiegu ulic Sarenki i Lisie Jary stoi nieduży, uroczy, drewniany dom. Od strony Lisich Jarów widać najpierw spory ogród, a dopiero z tyłu, trochę schowany przed przechodniami, stoi on. Historia tej nieruchomości sięga lat trzydziestych XX wieku. Roman Okniński pracował wtedy w Banku Gospodarstwa Krajowego i idąc w ślady swoich znajomych z pracy kupił wraz z żoną działkę w Zalesiu Górnym od Jana Witolda Wisłockiego. W 1936 roku wybudowali tam ten stojący do dziś dom, który służył im za domek letni; jego otoczenie bardzo różniło się od dzisiejszego. Na stałe państwo Oknińscy mieszkali w Warszawie przy ulicy Rozbrat. W domku przy Sarenki spędzali wakacje, a w planach mieli wybudowanie większego, całorocznego domu. Wtedy letni domek stałby się stróżówką. Życie i historia pokrzyżowała te plany.

Roman Okniński pochodził z Warszawy. Jako ochotnik brał udział w wojnie 1920 roku. We wrześniu 1939 roku zgłosił się do wojska i podobnie, jak dziesiątki tysięcy naszych rodaków został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną i wywieziony do ZSRR. Przeżył niewolę w obozach jenieckich w Równym i Dubnie. Po ogłoszeniu tzw. amnestii dla „deportowanych” Polaków Roman zaciągnął się do Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR zwanych potocznie Armią Andersa. Otrzymał w armii stanowisko księgowego i odbył w jej szeregach szlak wojenny wiodący z ZSRR, poprzez Persję, Egipt i Włochy, do Anglii. Brał udział w walkach o Monte Casino. Do Polski wrócił wkrótce po zakończeniu wojny i zamieszkał z żoną i córką Krystyną w Zalesiu Górnym.

Po wojnie Roman Okniński znalazł zatrudnienie w Państwowym Przedsiębiorstwie Kolportażu „Ruch”. Ogromną radość sprawiało mu zajmowanie się ogrodem – planowanie, kupowanie i sadzenie roślin oraz opieka nad nimi. Wspomina wnuczka Maria: „Dziadek kochał ogród. To było jego hobby. Przed wojną kupował do Zalesia rośliny i drzewka owocowe (jabłonki, grusze i śliwy) w znanych Zakładach Ogrodniczych C. Ulricha w Warszawie. Namiastką tych zakładów jest obecnie Ogród Ulricha w Parku Wola. Na końcu ogrodu dziadków stała altanka, a wzdłuż alei prowadzącej do niej rosły floksy. Do dziś pamiętam ich piękny zapach. Przy werandzie wspinała się winorośl rodząca pyszne winogrona. Dziadek robił z nich wina domowe. Robił także miód pitny. Z tym miodem była śmieszna historia. Jak się urodziłam ja, a potem mój brat, dziadek dał rodzicom po jednej butelce wystarego miodu, by otworzyli je podczas naszych wesel. Po dwudziestu



Budowa domu – archiwum prywatne.

paru latach jedna butelka została uroczyście otwarta podczas mojego wesela i goście dostali do spróbowania jedynie niewielką ilość tego trunku, coś wielkości naparstka. Ale skutki były wręcz niesamowite. Jeden z gości twierdził, że Ziemia obraca się ze wschodu na zachód, a ciocia, która była bardzo dystygowaną osobą, powiedziała do męża *ty brutalu*. Czyli miód dziadka miał swą moc.” Do tej pory w ogrodzie rosną ogromne rododendrony sadzone przez Romana oraz kilka drzew owocowych. To niestety jest tylko mały fragment przedwojennego ogrodu.

Wanda Oknińska, z domu Lubicz-Zaleska, przed wojną pracowała w Powszechnej Kasie Oszczędności w Warszawie. Pochodziła z rodziny, która do końca XIX wieku była właścicielem majątku Janki. W 1939 roku przyjechała z 14-letnią córką na wakacje do Zalesia i wybuch wojny pokrzyżował im plany powrotu do Warszawy. Jej mąż był w łagrze w ZSRR, a warszawskie mieszkanie przy ulicy Rozbrat zostało zajęte przez Niemców. Jako miejsce zamieszkania pozostał jedynie dom w Zalesiu.

Do powrotu męża w 1946 roku Wanda Oknińska mieszkała sama z córką, choć przez ich dom przewijało się wiele osób. Przez jakiś czas mieszkali tu różni znajomi Wandy, jak również osoby potrzebujące schronienia. Dla ukrywających się była w piwnicy podwójna ściana za szafą oraz inne miejsce, gdzie można było się schować, za domowym sprzętem takim jak balie wanny do prania, misy. Czasami w tym niedużym domu nocowało aż 16 osób jednocześnie.

By przetrwać czas wojny obie panie Oknińskie, Wanda i Krystyna, wyprzedawały się w okolicznych wsiach z cennych rzeczy takich jak biżuteria, rower, aparat fotograficzny, aby za to dostać trochę brukwi, marchwi, fasoli lub grochu. Wędrowały tylko w nocy, bo tego typu handel był w czasie okupacji zakazany.

Mimo trudnych i niebezpiecznych czasów dom państwa Oknińskich był w czasie okupacji chętnie odwiedzany przez znajomych. Pianino i patefon pozwalały na wspólne wieczory przy dźwiękach muzyki. Od czasu do czasu odbywały się tu również młodzieżowe podwieczorki z tańcami. Uczestniczyło w nich wielu młodych mieszkańców Zalesia. Jak wspomina Irena Grohman-Fleszarowa w książce „Zalesie Górne 1930-200”, w grze na fortepianie wyróżniali się Krystyna Oknińska, Eugeniusz Hoffman i Wiesław Wierzyński.



Roman i Wanda Oknińscy – archiwum prywatne.



Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, wielu z tych młodych ludzi ruszyło do Warszawy, a ci, którzy pozostali w Zalesiu włączyli się w pomoc partyzantom i powstańcom. W Warszawie zginęli: Hanna Zakrzewska, Wiesław Wierzyński, Zygmunt Jurakowski i Antoni Godlewski, a ranni zostali Eugeniusz Hoffman i Jerzy Zakrzewski. Danuta Wierzyńska i Bożena Stapf, uczestniczki powstania, zostały wywiezione do obozu jenieckiego. Irena Grohman, Jadwiga Iwańczyk „Isia” oraz Krystyna Oknińska pracowały w powstałym na terenie Zalesia tajnym szpitaliku, do którego przywożono rannych powstańców i partyzantów<sup>1</sup>.

Pod koniec wojny w domu państwa Oknińskich został zakwaterowany Hahelberg, Niemiec, który pracował w biurze w Zalesiu. Według słów Krystyny Waleckiej z domu Oknińskiej był to człowiek nieprzyjemny, grubiański i porywczy. Jego ordynans, Ślązak, uprzedził Wandę Oknińską o niestosownym zachowaniu Niemca. W trosce o bezpieczeństwo nieletniej córki Wanda zdecydowała się ukryć córkę w domu państwa Hoffmanów przy ulicy Białej Brzozy.

Po wojnie Wanda Oknińska pracowała w centralce telefonicznej na ul. Słonecznej, a potem była kierowniczką Banku Gospodarstwa Krajowego w Zalesiu.

Państwo Oknińscy mieszkali w domu przy ulicy Sarenki do końca swych dni. Roman odszedł pierwszy w 1959 roku, a Wanda zmarła w roku 1981. Mimo, że w początkowych planach domek przy ulicy Sarenki miał być stróżówką, a rodzina planowała wybudowanie większego domu, ten miał wszystko, by stać się domem całorocznym. Roman Okniński uważał bowiem, że jak się nie ma za dużo pieniędzy, to trzeba budować solidnie. Dom został podpiwniczony, miał doprowadzenie wody ze studni, kanalizację oraz piec do ogrzewania zimą. Na parterze były trzy pokoje, kuchnia, łazienka i weranda, a nad nimi strych. Na terenie ogrodu była rozprowadzona woda do podlewania roślin, a w kilku miejscach rozmieszczono krany do jej pobierania.

Dom jest w dalszym ciągu zamieszkały i w posiadaniu rodziny Waleckich, potomków pierwszych właścicieli. Jest położony na sporej działce, która leży poniżej poziomu ulicy Sarenki. Z tym położeniem wiąże się interesująca historia. Ponoć Roman Okniński, w chwili kupna działki, miał dostać zapewnienie od Jana Witolda Wisłockiego, że teren wokół jego posesji zostanie obniżony do poziomu zakupionych przez niego gruntów. Tak się nie stało i zawiedziony Roman Okniński wyzwał Jana Wisłockiego na pojedynek za złamanie obietnicy. Do pojedynku podobno jednak nie doszło.

<sup>1</sup> Irena Grohman-Fleszarowa „Zalesie Górne 1930-2000”.



Dom i ogród – archiwum prywatne.

Roman Okniński bardzo kochał Zalesie. W listach do rodziny, pisanych w czasie wojny z Włoch, dawał temu wyraz pisząc: „Co tam Neapol, Zalesie jest piękniejsze”.

Z domem przy ulicy Sarenki związanych jest sześć pokoleń rodziny Oknińskich. Rodzice Romana, Adam i Józefa, zamieszkali tu po wojnie, gdy władze komunistyczne zabrały im, dla wysoko postawionego działacza partyjnego, warszawskie mieszkanie przy ulicy Hożej. Tu również mieszkała Krystyna Walecka, córka Romana i Wandy, z mężem Mieczysławem Waleckim, ich dzieci – Maria i Piotr, jak również dzieci i wnuki Marii i Piotra. Wszystkim im dom dał dach nad głową, bezpieczeństwo i niezapomniane wspomnienia.

*Maria Wilczyńska i Barbara Migaj*



4 Dom przed wojną – archiwum prywatne.

**W cyklu „O czym mówią drewniane domy” chcemy Państwu przybliżyć historię domów, które jeszcze są z nami, ale nie wiadomo jak długo pozostaną. Jednymi z nich są tzw. Żółte Domki, letniskowe domki postawione na działkach w zachodniej części Wyżyn. Stoją głównie przy ulicy Pięknej i Nowinek. Wspomina je Barbara Pieślak-Szejner w wydanej przez Stowarzyszenie Przyjaciół Zalesia Górnego publikacji „Zalesie Górne 1930-2000”. Ponieważ brak nam informacji o nich, zwracamy się z uprzejmą prośbą do naszych Czytelników. Jeżeli mają Państwo jakiegokolwiek informacje o którymś z tych domków, prosimy o kontakt, najchętniej pod adres redakcji Historii Odnalesionych.**



# Spełnienie

## – opowieść o Andrzeju Novák-Zemplińskim

Zalesie Górne słynie nie tylko z pięknej przyrody, zalewu na rzeczce Zielonej, soczystych mieszanych lasów, ale również z niespotykanych nazw ulic, smakowitych knajpek, a przede wszystkim z ciekawych mieszkańców. Ich losy połączyły się na krócej lub dłużej z naszą miejscowością. Powinniśmy pamiętać i przywoływać pamięć tych, którzy zostawili tu kawałek swojego życia, wyciskając ślady swoich stóp na piaskach zalesiańskich ścieżek.

Andrzej Novák-Zempliński – bo o nim jest ta historia, spędził młodzieńcze powojenne lata w naszej miejscowości. Kim był i dlaczego chcemy Wam o nim opowiedzieć?

### Opowieść się rozpoczyna

Kiedy wybrałyśmy się do Tułowic na spotkanie z Andrzejem Novákiem-Zemplińskim, wiedziałyśmy, że czeka nas, oprócz ciekawej rozmowy, prawdziwa uczta duchowa. Spotkanie bowiem było umówione w posiadłości państwa Novaków, która jest pieczołowicie odrestaurowanym dworem wraz z całym otoczeniem parkowym. Piękne wnętrza, rodzinna atmosfera i zapach świeżo parzonej kawy były świetną osnową rozmowy, która biegła od burzliwych powojennych losów rodziny, do artystycznych osiągnięć, zwieńczonych spełnieniem twórczym. Jak wspomina bohater naszej opowieści: „Moje dzieciństwo miało na pewno znaczący wpływ na dokonywanie wyborów”. Andrzej urodził się w Olsztynie w trudnych stalinowskich latach czterdziestych. Jego ojciec pełnił tam funkcję Dyrektora Lasów Państwowych. W latach pięćdziesiątych aresztowano ojca za „okupacyjne zaszłości konspiracyjnej działalności” i potajemne wspieranie kolegów z AK. Matka z synem i córką musiała opuścić piękne, pięciopokojowe mieszkanie mieszczące się w centrum Olsztyna. Na krótko zatrzymali się u dziadków w Giżycku, by ostatecznie skorzystać

z zaproszenia Piotra Jarockiego – przyjaciela ojca ze Lwowa – do zamieszkania w jego domu w Zalesiu Górnym. Do dyspozycji otrzymali pokój w budynku mieszczącym się u zbiegu ulic Pionierów i Korolowych Dębów. Willa przy Pionierów 34, to kawałek historii naszej miejscowości. W domu tym między innymi mieszkali repatrianci ze Wschodu. Na parterze mieszkały rodziny: Dębskich z babcią Lipińską, Krocowie z córką Danutą, która po latach była dyrektorką szkoły podstawowej w Zalesiu. Na piętrze mieszkali Domańscy i Novákové.

Sytuacja zmieniła się, gdy Piotr Jarocki zmarł. Wdowa sprzedała dom braciom Robakom. Dotychczasowi mieszkańcy zobowiązani zostali do znalezienia innego miejsca zamieszkania. Rodzina Andrzeja zdecydowała, by od państwa Wisłockich kupić działkę przy Pionierów 44. Środki na ten cel przekazała babcia po sprzedaży domu w Giżycku. Na budowę domu ojciec zaciągnął pożyczkę w kasie zapomogowo-pożyczkowej swojego zakładu pracy. Było to możliwe, bo w 1956 roku został zrehabilitowany i mógł podjąć pracę w Instytucie Wodnym Polskiej Akademii Nauk, a następnie w Ministerstwie Leśnictwa jako Naczelny Konserwator Przyrody. Sytuacja rodziny zaczęła się stabilizować.

Andrzej poszedł do szkoły w 1955 roku. Była to szkoła w „Zalesiance” – drewnianym budynku przy Pionierów. Uczniowie uczyli się w trudnych warunkach, na zmiany. Było ciasno, ale za to wesoło i ciekawie.

Lata spędzone w Zalesiu miały duży wpływ na kształtowanie się postaw i wyborów życiowych. Jak pisze nasz bohater we wstępie do pięknego albumu „Życie wokół koni”, wydanego w rocznicę jego urodzin: „Gdy mija w życiu człowieka siedemdziesiąt lat, przychodzi czas na refleksję, rachunek z przeżytych lat, dokonanych wyborów, na analizę popełnionych błędów, ocenę rzeczywistych sukcesów i przyczyn porażek oraz źródeł powodzenia czy niepowodzenia w podejmowaniu ważnych życiowych decyzji.”

Dwór w jesiennej oprawie – archiwum prywatne.





• Maria Wilczyńska – szkolna koleżanka – wspomina, że Andrzej zawsze marzył o tym, żeby posiadać pałac. Marzenie to spełniło się w latach osiemdziesiątych. Andrzej zamieszkał w Tułowicach, w zdewastowanym dworze zakupionym z zasobów Skarbu Państwa. Dzisiaj, po pieczołowitej rekonstrukcji, dwór wraz z zabudowaniami i parkiem tworzą jedną z najpiękniejszych siedzib ziemiańskich na Mazowszu.

• Jako młody chłopiec był w podkrakowskich ziemiańskich dworach w Głanowie i Tarnawie, które po wojnie szczęśliwie pozostały w rękach stryjów jako resztówki po przedwojennej parcelacji majątku. Dobrze się czuł w tych miejscach wypełnionych pamiątkami rodzinnymi i specyficznym klimatem tradycji właściwej siedzibom ziemiańskim. Wiele godzin spędzał w stajni, pomagając w obrzędku zwierząt. To tam narodziła się jego wielka sympatia do koni, która w niedalekiej przyszłości będzie jego drogowskazem w wyborze życiowej ścieżki. Marzył o tym, by mieć swój dwór i swojego konia. Te młodzieńcze marzenia ciągle były żywe i co jakiś czas przypominały o sobie. Już jako student postanowił je zrealizować. Zaczął szukać gospodarza, który miałby odpowiednie warunki na hotel dla upragnionego konia. Pamiętał, jak zadbane były zwierzęta w stajniach stryja w tarnawskim dworze. W okolicznych miejscowościach żadne gospodarstwo nie spełniało standardów. Zwierzęta w odwiedzanych gospodarstwach były brudne, trzymane w oplakanych warunkach. Po wielu poszukiwaniach znalazł właściwe – w Wólce Kozodawskiej. Na wyrażone uznanie dla warunków, jakie mają zwierzęta w gospodarstwie, właściciel opowiedział taką oto historię: w czasie okupacji jechał swoją furą na targ do Piaseczna. Mijający go żandarm niemiecki zawrócił, wyrwał mu bat i obił go za zaniedbane konie. Była to bolesna lekcja, ale jakże pouczająca. Od tej pory dbał o swoje zwierzęta. Problemy z uzbieraniem pieniędzy na kupno wierzchowca pozostawały ciągle w sferze marzeń. Jednak to marzenie o koniu stało się osią wydarzeń, które doprowadziło do sukcesu na niwie malarstwa. Ale o tym później.

• Andrzej Novák-Zempliński z Rosikiem przed wozownią – archiwum prywatne.



### Wróćmy jeszcze do czasów zalesiańskich

We wspomnieniach Andrzeja ważne miejsce miały relacje z kolegami.

W ciepłym, leniwym czasie wakacyjnym, dzieci i młodzież organizowała sobie różne atrakcje. Jedną z nich były wakacyjne potańcówki w starej drewnianej szkole tzw. Zalesiance. Był to czas spotkań, rozmów, wzajemnego poznawania się.

W czasach permanentnych niedostatków żywnościowych potajemnie wyprawiał się z grupą kolegów na stawy Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Żabieńcu. Pracownicy Instytutu zdawali sobie sprawę, że okoliczni mieszkańcy podkradają ryby. Wprowadzili więc warty. Tego feralnego wieczoru chłopcy wybrali się rowerami na „połowy karpia”. Udało się złowić kilka sztuk, które ukryli w krzakach. Rowery zostawione na ścieżce zarekwirowała straż obiektu. Ukryte w zaroślach ryby ocalały, ale rowery nie. Byłyby nie do odzyskania, gdyby nie wstawił się za nimi znany w Zalesiu lekarz, doktor Jerzy Buśko. Na koniec pamiętnej przygody, Andrzej dowiedział się, że milicjanci doskonale zdawali sobie sprawę z procederu pokątnego odławiania ryb, bo sami korzystali z efektów nielegalnych odłowów.

Jedną z chłopięcych rozrywek była zabawa w wojnę, której odgłosy ucichły nie tak dawno. Chłopcy z Zalesia walczyli na proce z chłopakami z Ustanowa. W tych potyczkach wykorzystywali również wyrwane z ziemi kępy traw, które traktowane były jako ręczne pociski. Trafiony taką bronią był cały obsypany piachem. Potęgowało to zaognienie konfliktu, w którym zwycięzcami byli najczęściej zalesianie.

Jako piaseczyński licealista, Andrzej nie należał do pokornych uczniów. Ukształtowała go historia dziadka – legionisty i ojca – żołnierza AK. Do treści historycznych przekazywanych na lekcjach podchodził z dystansem. Uczestnictwo w szkolnych pochodach, które miały charakter polityczny, było obowiązkowe. Andrzej na jednym z nich miał nieść transparent z popularnym hasłem sławiącym socjalizm. Dyrektor szkoły, znając jego postawę, pilnował, żeby

spełnił swój obywatelski obowiązek. Nie udało mu się upilnować niesfornego ucznia, który wykorzystał chwilowe zamieszanie i za 5 zł wymienił się z kolegą transparentem na flagę narodową.

Inną historią, która zapadła w jego pamięci, było zdetonowanie własnoręcznie zrobionej przez kolegów „chemików” bomby z nitrogliceryny. Zdetonowali ją w Chojnowie, obok starej sosny. W efekcie uległo uszkodzeniu drzewo, które niebezpiecznie przechyliło się w jedną stronę. Była też domowa produkcja czarnego prochu w młynku do kawy. Inspiracją do tego było wykonanie modelu XVII-wiecznego działa na szkolnych zajęciach praktycznych.

Koledzy Andrzeja mieli niecodzienne pomysły. Na jego cześć, na niezamieszkałej działce blisko jego domu, postanowili wystrzelić na wiwat. Czujność posterunkowego uniemożliwiła to. Chłopcy zostali zabrani na posterunek. O wyczynie powiadomiono rodziców.

Jedną ze znaczących postaci, które miały wpływ na losy naszego bohatera, był malarz Lucjan Lejman. W latach sześćdziesiątych zorganizował grupę artystyczną „Zalesie”. To właśnie on protegował młodego Andrzeja na studia wychowania plastycznego w Radomiu. Była to również swego rodzaju ucieczka przed nieuchronnym wcieleniem do obowiązkowej, dwuletniej służby wojskowej. Przy okazji wspominek, Andrzejowi przypomniała się historia z winem: pan Lucjan zakopał w swoim ogrodzie butelki z dobrym winem. Nie uszło to uwadze młodych zalesian. Pod osłoną nocy wykradli trunek. Można się domyślić, co stało się później. Radości z żartu nie było końca, gdy w głowach szumiała młodość i dobre wino.

### Jak potoczyły się dalsze lata kariery artystycznej Andrzeja?

Studiując w Radomiu dowiedział się, że znany radomski artysta, Stanisław Dobrowolski, prowadzi ognisko plastyczne. Nasz rozmówca szlifował u niego swój talent. Zachęcony przez mentora próbował zostać studentem Akademii Sztuk Pięknych. Dostał się dopiero za trzecim razem. W międzyczasie odbył służbę wojskową, ponieważ nie zaliczył obozu przysposobienia wojskowego w radomskim Studium Nauczycielskim, a szef tego Studium „życzliwie” doniósł o tym do Wojskowej Komendy Uzuppełnień. Jak wspomina: „Był to jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu, jednak moje plastyczne uzdolnienia dały mi możliwość przetrwania tego czasu. Jednostka potrzebowała zdolnych ludzi do „zdobienia” (...) przestrzeni różnymi formami ekspozycji (...) propagandowych socjalistycznej ojczyzny (...) Zamiast czołgania się w polu, miałem więc pracownię, gdzie powstawały te bynajmniej nie wiekopomne „dzieła”, a ja otrzymywałem za nie dodatkowe przepustki i urlopy.” Dzięki temu mógł doskonalić swój talent, m. in. w krakowskim ognisku plastycznym. W czasie jednego listopadowego „wypadu” na przepustkę zabrał sztalugi i płótno. Pojechał do podkrakowskiej wsi – Minogi. Szkicując obiekty tamtejszego dworu i kościoła, został zauważony przez proboszcza, który nabył jedną z jego prac. To były pierwsze pieniądze zarobione na malarstwie.

Upragnione studia zaczął na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, by po roku przenieść się do Warszawy do pracowni profesora Michała Byliny, realisty, koniarza z kawaleryjską przeszłością. Później trafił do profesora Ludwika Maciąga, gdzie mógł już oficjalnie rozwinąć skrzydła i podjąć tematy, które go fascynowały. Z racji miłości do koni były to tematy związane z hippiką i łowiectwem.

Historia toczyła się dalej. W 1975 roku wystawił kilka swoich prac na wystawie w Biurze Wystaw Artystycznych, zorganizowanej przy okazji Mistrzostw Europy w Powożeniu Zaprzęgami Czterokonnymi w Sopocie. Było tam wielu dawnych ziemian, znanych



Wozownia – archiwum prywatne.

hodowców koni, a nawet księżę Filip. Obraz „Czwórka” kupił Michał Bogajewicz, znany producent stylowych pojazdów konnych. Jego pracami zainteresowało się również Muzeum Mazowieckie w Płocku oraz wielu miłośników i hodowców koni z całego świata.

Malowanie i sprzedaż obrazów stała się głównym źródłem utrzymania, a marzenie o własnym dworze ciągle było żywe. Razem z żoną, Aleksandrą, zdecydowali się osiedlić na wsi. Zaczęli szukać obiektu zabytkowego w okolicach Warszawy, który nadawałby się do zamieszkania. I tak w połowie lat siedemdziesiątych trafili do zdewastowanego dworu w Tułowicach. Dwór zachwylił ich pomimo, że od wielu lat był już opuszczoną ruiną z zaniedbanym ogrodem. Po wielu latach negocjacji z władzą ludową, w 1980 roku udało się kupić posiadłość. Tak zaczęła się mozolna praca przy odbudowie, która zajęła kilkanaście lat. Był stan wojenny, zapaść ekonomiczna i olbrzymie braki materiałów budowlanych, transformacja, hiperinflacja i inne zawirowania gospodarcze, które spowalniały odbudowanie Tułowic.

Dzisiaj dwór w Tułowicach cieszy oko każdego, kto zawita w jego gościnne progi. W wyremontowanej stajni udało się zgromadzić imponującą kolekcję pięknych powozów związanych z tradycją polskiego dworu.

Historia, którą Wam przedstawiłyśmy, pokazuje życie niezwykle zdolnego artysty i jednocześnie człowieka realizującego swoje młodzieńcze marzenia. Los prowadził go przez różne miasta, miasteczka i wsie, w tym również przez nasze Zalesie Górne.

Alicja M. Szostakowska  
Grażyna Kucharska  
Maria Wilczyńska

### Sprostowanie dotyczące artykułu *Jak powstało Zalesie Górne* opublikowanego w piątym numerze *Historii Odnalezionych*.

W piątym numerze *Historii Odnalezionych*, w artykule *Jak Powstało Zalesie Górne*, jest informacja, że Julian Walecki kupił majątek w Zalesiu Górnym za pieniądze przekazane mu od ojca, Ignacego Waleckiego. Ta część artykułu została oparta na wspomnieniach członków rodziny Waleckich.

Po ukazaniu się publikacji odezwał się do nas Juliusz M. Walecki, syn Juliana, twierdząc, że ojciec jego kupił majątek od Zofii Potockiej za swoje pieniądze. Chcemy zatem, by poznali Państwo również tę wersję wydarzeń, będących częścią historii naszej miejscowości.



## Sąsiad jaki jest

Wg Słownika języka polskiego PWN sąsiad to ktoś, kto mieszka w pobliżu kogoś.

A jaki może być sąsiad? Sąsiad może być bliski albo daleki, dobry albo dokuczliwy. Bywają sąsiedzi przez miedzę, przez ścianę, albo przez płot – tak jak moi.

O swoich sąsiadach „zza płota” opowiadałam zawsze z sympatią. No bo weźmy taki przykład z przedwczoraj.

Po wielkiej wierzbie, która rosła przed ogrodzeniem mojej działki, a ładnych parę lat temu została ścięta, pozostał pień. Dość wysoki i gruby. Miałam kiedyś pomysł, żeby przy bramie umieścić dla ozdoby donicę z kwiatami. Projekt kwiatowy się nie udał, ale pień pozostał. Teraz miał służyć kotom do obserwowania świata z góry. Koty siadały od czasu do czasu i gapily się na osiedlową uliczkę, a tymczasem pień powoli usychał, aż ostatnio przy podstawie odpadły resztki kory i beczelnie sypało się próchno. Postanowiłam zlikwidować ten szpetny zabytek. Przytargałam dwie siekiery, które były w szopie, grabie, szufłę i worki.

– Dziś trochę, trochę jutro i robota będzie zrobiona. W końcu taka mała kropka też drąży skalę, a i mówią, że rąbanie drewna dobrze działa na szare komórki – tak myślałam sobie, gdy robiłam pierwsze nacięcie. Potem drugie i trzecie. Zanosilo się

na dłuższą batalię. Aż tu nagle... za moimi plecami pojawił się sąsiad, ten zza prawego plotu, trzymając w ręku nowiutką piłę łańcuchową. Piła warczała, leciały wióry, odpadały szczapy, ale pień trzymał się mocno. Wtedy, zwabiony hałasem, pojawił się sąsiad zza lewego plotu ze swoją własną piłą, ale ta od razu odmówiła współpracy. Moi dzielni sąsiedzi na zmianę starali się rozpiłować pień – cięli to wzdłuż, to w poprzek, ale materia okazała się nad wyraz oporna. Na odsiecz starszym, choć bardzo krewkim panom, przybył syn jednego z nich, młody dobrze zbudowany mężczyzna i dokończył dzieła. Suchy pień wierzb został wycięty. Przez cały czas stałam w pobliżu trochę bezużyteczna, a w głowie coś recytowało mi wierszyk o wyciąganiu rzepki, którą zasadził dziadek w ogrodzie.

Tak to moi sąsiedzi jak trzej muszkietierowie, co prawda z jedną przechodnią szpadą w postaci piły, pomogli mnie, zwariowanej seniorce, pozbyć się niechcianej ozdoby przy ogrodzeniu.

Niby taka zwykła sprawa, wcale nie wiekopomna, ale czyż z takich drobiazgów nie budujemy czegoś większego?

O swoich sąsiadach można opowiadać różnie – na wesoło, beznamietnie, sensacyjnie, albo – jeśli nie ma ich już wśród nas – zawsze z nutą nostalgii.

Elżbieta Nowińska

## Po prostu była...

Mówi się, że sąsiedzi mogą być ważniejsi niż rodzina. I jest w tym powiedzeniu prawda, bo sąsiadów ma się na co dzień, często przez całe życie. Albo się ma szczęście do sąsiadów i żyje w zgodzie i radości, albo sąsiedzi stają się utrapieniem i udręką.



Teresa Solecka – archiwum prywatne.

Sąsiedzi potrafią być podporą, najlepszym stróżem, a nawet wyrozumiałym przyjacielem, albo mogą zatruć życie, czasami mieszkańcom całej ulicy.

Mieszkając obok, w jakimś stopniu uczestniczymy w ich życiu, a oni w naszym. Kiedy myślę o swoich sąsiadach, przed oczami widzę Panią Teresę z naprzeciwka.

Kiedy pojawił się temat sąsiadów, zaczęłam zastanawiać się nad relacjami mieszkańców z mojej ulicy. Po latach wiem, że byliśmy szczęściarzami.

Prawie 50 lat mieszkałam przy ulicy Żytniej na Domance. Wokół żyli i pracowali zwykli, dobrzy ludzie. Na początku ulicy były dwa gospodarstwa, z pasącymi się na pobliskich łąkach zwierzętami. Nikomu nie przeszkadzało poranne i wieczorne wyprowadzenie krów na pastwisko. Codziennie mieliśmy świeże mleko. Większość hodowała kury i kaczki, a nawet nutrie na futra, a zapachy były, delikatnie mówiąc, intensywne, ale jakoś ludzie nie mieli pretensji do siebie. Teraz, myśląc o minionych

latach, uświadomiłam sobie, jakimi to my byliśmy „trudnymi i uciążliwymi sąsiadami” dla mieszkającej naprzeciwko Pani Teresy.

Pomijam fakt, że mieszkańcy byli młodzi i na naszej ulicy mieszkało i codziennie spotykało się kilkanaścioro dzieci. Życie po szkole, toczyło się na piaszczystej ulicy i niezabudowanych działkach. Na pewno nie były to ciche zabawy.

Mój młody ojciec, pod koniec lat pięćdziesiątych kupił wufemkę. Ojciec nie mógł się nacieszyć motorem, często go wyprowadzał z garażu, czyścił i jeździł „na próbę”. W domu się nie przelewało, ale niebawem spełniło się prawdziwe marzenie ojca: sprzedał motocykl i kupił używaną warszawę. Trzeba było gdzieś ten samochód trzymać. Postanowiliśmy zbudować garaż i robiliśmy to wspólnie popołudniami, kiedy ojciec był już po pracy. Początek lat siedemdziesiątych – to rodzinna rozbudowa naszego domu. Trwała latami, jak to w tamtych czasach było. Ciężarówka zajeżdżała z materiałami, my wnosiliśmy cegły i pustaki na piętro, skrzypiał kołowrotek z podawaną w wiadrze zaprawą.

W połowie lat siedemdziesiątych wyszliśmy z siostrą za mąż, pojawiły się dzieci. Wkrótce kupiliśmy wyczekanego „malucha” czyli fiata 126p, potem siostra też kupiła auto i już stały trzy samochody na małej działce. Dobudowaliśmy dwa garaże, co ciągnęło się znów długo. Był hałas, kurz i harmider.

Czwórka dzieci rosła, w tym dwóch chłopców. Biegali, kłócili się, grali w piłkę, zapraszali kolegów. Pani Teresa ze stoickim spokojem zносиła nasze sąsiedzkie hałasy. Nigdy się nie skarżyła. Po pracy zajmowała się domem i ogródkiem. Wszędzie u Niej było bardzo czysto i schludnie. O wszystko dbała sama i była przy tym pracowita. Odmalowane okna i drzwi lśniły z daleka czystością. Zagrabiona ulica, przycięte rośliny, wszystko świadczyło o Jej zamiłowaniu do porządku. Nie znalazła szczęścia w małżeństwie, sama wychowywała córkę Grażynę, nie prosząc nikogo o pomoc. Jakimś cudem dawała sobie radę, a córkę wychowała



na wspiania, wrażliwą, kochającą dzieci osobę. Kiedy pojawiła się wnuczka, była najszczęśliwszą osobą na świecie. Często rozmawialiśmy z Panią Teresą o rzeczach ważnych i nieważnych. Nigdy nie podnosiła głosu, nie używała brzydkich słów, ani nie przekazywała niesprawdzonych wiadomości. Często zagadywała przechodzących sąsiadów. Niektórzy uważali ją za wścibską. My jednak wiedzieliśmy, że to nie wścibstwo, tylko ogrom empatii, której brakuje tak wielu ludziom. Była ciekawa ludzi i zawsze chętna do pomocy. Jej uważności, wiedzy i zdrowemu rozsądkowi, zawdzięczamy kilka lat życia naszej Mamy. Mimo, że były inne osoby w domu, to ona z tego „naprzeciwnika” zauważyła, że coś niedobrego dzieje się z Mamą i nakazała wezwanie pogotowia. Wykryty, w miarę wcześniej, udar cofnął się na tyle, że jeszcze kilka lat cieszyliśmy się matczyną obecnością. Pani Teresa zaskarbiła sobie naszą ogromną wdzięczność.

Odkąd pamiętam, Pani Teresa była zawsze z nami po sąsiedzku. Była ładną kobietą. Uprzejma, serdeczna, po prostu przyjemna.

## Przyjazne oko

**Kiedy siadam z poranną kawą na tarasie mojego domu, czując zieleń drzew, zapach ziemi i kwiatów, często spoglądam na tarasik niewielkiego domku widocznego na sąsiedniej działce. Tam, jak dawniej, stoi krzesło, może nawet to samo, na którym siadywała moja sąsiadka – pani Danusia. Tak ją nazywałam, ja i moje dzieci. Widoczna postać z ciemnymi lekko kręconymi włosami, które z wiekiem pokrywały się siwizną, okrągła twarz z pogodnymi oczami, subtelne dłonie.**

Z każdym mijającym rokiem coraz ciężiej było jej się poruszać. Starła się jednak być samodzielną, dbała o swoje roślinki okalające jej taras. Od niej dostałam ja i siostra liście funkii. Dzielili się tym, co miała. Teraz tworzą pas zieleni wzdłuż naszych posesji. Gdy je pielęgnuję, przypominam sobie właśnie ją – sąsiadkę. Dobra dusza, życzliwa, pomocna w opiece dzieci w tych trudnych peerelowskich czasach, gdy przedszkole było poza zasięgiem. Nieustannie wspierająca dobrą, serdeczną radą. W tamtych latach, na wysokości jej wzroku, blisko ogrodzenia dzielącego nasze posesje wisiał sznur do suszenia bielizny. W gorące, upalne sierpniowe dni, gdy wieszalam bieliznę, która schła błyskawicznie, nasączona wiatrem, ucinaliśmy sobie krótkie pogawędki. Właściwie o niczym i o wszystkim. O ważnych i błahych sprawach, chorobach, dzieciach, smutkach i radościach. Czasami wpadałam do niej na herbatkę, którą wypijałyśmy w jednym z trzech pokoików jej miniaturowego domku.

Pani Danuta Chojnacka, bo o niej snuję to wspomnienie, była ważną osobą w Zalesiu. Sprzedawała pyszne kajzerki w tzw. „zielonej budce” mieszczącej się na terenie obecnego bazaru. Gdy przyjeżdżałam do Zalesia na wakacje, mama rano kupowała tam niezapomniane w smaku bułeczki. Posmarowane masłem i miodem były uczcą dla podniebienia. Dotychczas czuję ich smak.

Gdy wybudowano budynek GS przy zbiegu ulic Pionierów i Wiekowej Sosny pani Danusia została kierowniczką największego sklepu w naszej miejscowości, na tzw. Krzyżówkach. Zopatrywał on większość mieszkańców w podstawowe artykuły. Na początku lat osiemdziesiątych, wtedy zamieszkałam tutaj na stałe, dopadł nas stan wojenny i totalne pustki w sklepach. Pamiętam, jak codziennie stałam z wózkami z moją córeczką w długich kolejkach. Zdobycie mleka w proszku graniczyło niemal z cudem. I tu przychodziła z pomocą pani Danusia. Zawsze pomogła w miarę swoich możliwości.

Moja sąsiadka była osobą towarzyską. Często wpadały do niej na ploteczki starsze panie, które dla dwudziestokilkuletniej

Wydawała mi się dużo młodsza od moich rodziców, ale okazało się, że różnica była niewielka, co było dla mnie zaskoczeniem. Z wiekiem Pani Teresa robiła się coraz bardziej filigranowa i coraz smutniejsza, opuszczało ją zdrowie.

Prawie wszyscy sąsiedzi z ulicy, w podobnym wieku, już odeszli. Pandemia pozostawiła ludzi w domach, nie było z kim specjalnie porozmawiać. Nigdy nie skarżyła się na los, choć miała nietławe życie i w nietławych czasach sama borykała się z żywymi trudnościami.

W ubiegłym roku pożegnaliśmy Panią Teresę Solecką. Dożyła 92 lat. Niewiele osób wiedziało, że miała na imię Weronika, tak jak jej matka. Szkoda, że nie doczekała pojawienia się najmłodszego członka rodziny, byłaby taka szczęśliwa!

Nie mam żadnego zdjęcia Pani Teresy, przecież zawsze była...

*Jolanta Jarosz-Hryniewicz*

osoby wydawały się sędziwe. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że prawdopodobnie były w moim obecnym wieku. Popijając kawę zagryzaną kruchymi ciasteczkami wymieniały się nowinkami z życia zalesian, rozmawiały o dzieciach, wnukach i oczywiście o chorobach. Powolutku wykruszały się z życia, było ich coraz mniej. I stało się to, co było nieuniknione. Pani Danusia odeszła, opuściła swój malutki domek, tarasik, poranną kawę parzoną po „turecku” i wszystkich, którym była bliska.

Odwiedzam jej grób, palę świeczkę i ciepło ją wspominam.

Czuję jej dobre fluidy, które gdzieś tutaj krążą.

*Alicja M. Szostakowska*



Danuta Chojnacka – archiwum prywatne.

# Magia ziemi

Kolejny raz, jako członek jury, miałam okazję oglądać kilkanaście zalesiańskich ogrodów w ramach konkursu na „Najpiękniejszy ogród 2023”, zorganizowanego przez Stowarzyszenie Przyjaciół Zalesia Górnego. Dzięki swojej funkcji mogłam wejść do ogrodów nieznanymi mi osobom. Okazało się, że nasze Zalesie jest pełne ukrytego w ogrodach piękna, często niedostępnego dla naszych oczu. Niektóre ogrody widać z daleka, czasami kryją się na tyłach domów. Ogrody są różne i po trosze pokazują nam charakter właścicieli. Zawsze są to pozytywni, otwarci ludzie, którzy ciężką pracą stworzyli inspirujące miejsca.

Lubię zaglądać do ogrodów „zza furtki”, podziwiać założenia roślinne i obserwować, jak się rozwijają one od wiosny do jesieni. Ogrody żyją przecież cały czas – zmieniają się wraz z porami roku, czasami z tygodnia na tydzień.

To miejsce pracy, odpoczynku, a także dumy i radości właścicieli, ale wymagają mnóstwa pracy, nakładów finansowych, pomysłowości i miłości. Kiedy ogród rozrośnie się, wiele osób ma poczucie, że stworzyło raj nie tylko dla siebie ale i gościnne miejsce dla zwierząt i owadów.

Pomyślałam, że spróbuję opisać ogrody. Trochę zainspirował mnie angielski program „Gardener’s World”, prowadzony przez Montego Dona. Pokazywany jest wzorcowy ogród „Long Meadow”, a w nim różne fragmenty, podzielone na tzw. pokoje z rozmaitymi nasadzeniami. Możemy zobaczyć i podziwiać w nim także ogrody telewizorów. Często pokazywane są relacje z fantastycznych wystaw, organizowanych na terenie całej Wielkiej Brytanii i bajecznych ogrodów z kraju, w których ani teren, ani środki finansowe, ani pogoda nie ograniczały fantazji właścicieli.

A co możemy powiedzieć o naszych ogrodach?

Spotykamy ogrody wzorcowo piękne, w których projektanci pokazują swoje możliwości. Ograniczona paleta roślin i barw, przemyślane, obsadzone zwykle dorodnymi i kosztownymi roślinami ze szkółek. Zdobi je gęsta, zielona trawa z rolki i od razu mamy piękny ogród, wprowadzający wokół nas spokój i harmonię. Są to ogrody osób zapracowanych, dobrze sytuowanych, którzy często mają ogrodników, którzy wykonują całą pracę za nich. Ogród jest przedmiotem dumy i prestiżu. To takie ogrody są prezentowane na łamach czasopism, czy pokazywane w filmach.



Przyjemnie się na nie patrzy, czasami nawet zazdrości, ale mnie to trochę przypomina piękny hotel, w którym wszystko jest perfekcyjne, wszystko do siebie pasuje, ale jest to jednak, zaplanowane przez innych świat. Lubimy pobyc w hotelu, ale bardziej lubimy być w domu, w którym może jest odrobina bałaganu, ale otoczeni jesteśmy swoimi ulubionymi przedmiotami. Jednakże, miło jest popatrzeć na te wyrafinowane ogrody, gdzie wypielęgnowane trawniki i rośliny mówią nam, że nie żałuje się tu czasu, wody i pieniędzy.

W innych ogrodach widać, że koncepcje się zmieniały z czasem, kiedy pojawiały się większe możliwości finansowe i poszerzała się wiedza o roślinach, Ogrody piękniały wraz z możliwościami i dostępnością do roślin. O wielu roślinach może kiedyś tylko czytaliśmy, albo oglądaliśmy w książce lub w telewizji. Te ogrody rosną latami, wzbogacane o coraz to piękniejsze okazy i są często przykładem niebanalnego łączenia roślin, zarówno pod względem wysokości, faktur jak i kolorów. Właścicielami są osoby dbające o szczegóły, prowadzące rośliny w niebanalny sposób, dobrze znające tajniki ogrodnictwa, wkładający wiele sił i środków na utrzymanie porządku. Nie boją się eksperymentów.

Na naszym terenie są ogrody leśne z rozległymi plamami roślin w jednym gatunku. Starannie obcięte drzewa, równie starannie ułożone grube gałęzie, czy pocięte drewno do kominka tworzą swoisty klimat porządku, zapraszający do wnętrza ogrodu. Rosną w nim rośliny lubiące cień: mech, żurawki, funkcie.

Właściciele próbują znaleźć złoty środek pomiędzy naturą lasu i swoim poczuciem estetyki. Nie niszczą tego, co zastali, kupując działkę. Dokonują korekt, ale nie wycinają wszystkiego w pień, żeby w tym miejscu posadzić kartofle. Niestety, to się już w Zalesiu zdarzało. Pozostawiają rozległe jagodziny, przypominające lata młodości, kiedy to ani las, ani komary, ani zaskrońce nie były straszne. Tym bardziej spotkani w lesie ludzie, którzy zbierali grzyby, poziomki i jagody, nie pozostawiając śmieci.

Zwyczajem było chodzenie dzieci na jagody. Lubiałam je zrywać i dopiero kiedy miałam pełną bańkę jagód „pozwalalam sobie” zjeść ich trochę z przykrywką, ze świeżą zwykłą bułką z masłem, z piekarni pana Jerzaka. Smak tej bułki, dziś już nie do powtórzenia.





Mchy i porosty w naturalny sposób pokrywają drzewa i krzewy. A ludzie nie dążą do idealnie przyciętych trawników. Obecnie uważa się, że im dłuższa trawa, tym więcej wody zostaje w glebie i więcej gatunków ma szansę na przeżycie. Dobrze byłoby o tym pamiętać, zwłaszcza, że lata stają się coraz cieplejsze i wyczerpują się zasoby wodne. Bardzo cenię ludzi, mających szacunek dla natury, rozumiejących potrzeby zwierząt, dla których jesteśmy intruzami na ich terenie. Cisza, brak ludzi i pojazdów podczas pandemii, uzmysłowiła nam, ile zwierząt musi żyć w koegzystencji z ludźmi na okrojonych przez nich terenach. Czas się zatrzymał, odżyły zwierzęta, naukowcy zaobserwowali zwiększenie populacji zwierząt i ptaków.

Dzięki tym wizytom konkursowym znaleźliśmy w Zalesiu oryginalne ogrody, w których użyte materiały czy przedmioty, inspirują do działania i zachwycają inwencją właścicieli. Kopiec, zbudowany z pamiątkowych kamieni, zebranych w różnych miejscach świata, a na nim kierunkowskazy z nazwami miejsc i odległością w kilometrach do różnych miast na świecie. Kierunkowskazy są miłym przypomnieniem miejsc, które odwiedzili właściciele. Bardzo to bliskie moim upodobaniom, gdyż sama nie raz przywoziłam kamienie z wyjazdów.

W innym ogrodzie na tarasie królowały, przypominające ciepłe kraje, egzotyczne rośliny, które zimę spędzają w mieszkaniu. To też przypomnienie letnich wyjazdów i ciepła w chłodne dni, a także zielona ozdoba, kojąca wzrok.

Są też ogrody, taki jak mój, trochę zapuszczone, w którym rośnie wszystko, co się wysieje. Nigdy niedopielony. Pełno w nim bluszczu kurdybanka, tojeści rozeslanej, podagrycznika czy dąbrówki. Ciężko mi wyrzucić jakąkolwiek roślinę, więc siewki wędrują do doniczek, a potem szukam dla roślin przeznaczenia. Często są prezentem dla innych. Sama mam wiele roślin, pozyskanych w ten sposób od znajomych i oglądając rankiem kwitnący ogród, myślę ciepło o darczyńcach. Tak więc są też takie ogrody, które zapraszają wszystkie rośliny do siebie, są wspomnieniem babcinego ogródka. A co jeśli to wszystko nie bardzo pasuje do wizji naszego ogrodu? Szukamy miejsca dla roślin, może je eksponujemy, a może upychamy do doniczki, w której wędrują z miejsca na miejsce. Mój ogród jest pełen chaotycznie rosnących kwiatów zarówno tych „ogrodowych”, jak i dzikich. Od lutego do listopada coś w nim stale kwitnie: od pierwszych ranników po ostatnie, marcinki. Przyświeca mi hasło „Żyj i daj żyć innym”. Mam go ciągle w głowie, a szczególnie kiedy patrzę



na buszujące w ogrodzie owady, ptaki i wiewiórki. Nie denerwują mnie pojawiające się, od czasu do czasu, kopce kreta, w końcu to on jest u siebie, a ja jestem intruzem. Pamiętam, że moja babcia miała przepiękne hortensje domowe, hodowane w ziemi „spod kreta”, wolnej od jakichkolwiek szkodników.

Smutkiem napawają mnie ogrody opuszczone, zaniedbane już i niechciane przez nikogo. Jeszcze się gdzieś uparcie przebijają róże, bez czy jaśmin. Wiosną, wśród traw zachwyca żywotnością czerwone i żółte tulipany. To te ze starych odmian. Jeszcze zakwitną wybujałe krzewy, ale ogród przejmują zaborcze pokrzywy, bluszcze i nawłócie.

I już nie zobaczymy fioletowej kurtki pani Zacharskiej, pochylającej się z troską nad roślinami, ani nie kupi się świeżej sałaty na niedzielny obiad od pani Szafrąnskiej, na którą czekało się całą zimę. Dziś, kiedy wszystkiego jest w bród, pozostają tylko sentymentalne wspomnienia. A ogrody czekają na kogoś innego, kto je znowu ożywi. Przypomniałam sobie ogród pana Pedy, który hodował w szklarni nie tylko warzywa, ale i begonie wielkokwiatowe, nieczęsto widywane. Co roku wysadzał je do mis na terenie przykościelnym. To był zachwycający widok. Przed domem kwitły wiosną, równie mało wówczas znane, azalie.

### Słowo o profesjonalnych ogrodach.

Są też ogrody Tematyczne Hortulus, które różnią się od typowych ogrodów botanicznych czy dendrologicznych tym, że są to ogrody pokazowe. W tego typu ogrodach, najważniejszą cechą jest kompozycja roślinna i styl ogrodowy. Nie znajdzie się tu setek tabliczek z opisem i nazwą roślin, które niestety zakłócają odbiór wizualny i estetyczny ogrodu. W Ogrodach Tematycznych znajduje się wiele ogrodów o różnej stylistyce: japoński, francuski oraz oryginalne ogrody zmysłów w stylu angielskim. Znajdują się tu autorskie ogrody, które połączone są w grupy: Woń, Aromat, Zapach, Barwa, Światło, Cień, Szum, Szelest, Cisza, Dźwięk. Ciekawie prezentują się ogrody inspirowane naturalnym krajobrazem: skalne, leśne, wodne.

W Polsce znajduje się Hortulus Spectabilis w Dobrzycy, koło Koszalina – z największym na świecie labiryntem grabowym i wieżą widokową, Kalendarzem Celtyckim, rabatami bylinowymi, rosarium i parterami bukszpanowymi.

Należy jeszcze wspomnieć o ogrodach, dla których nie ma zbyt dużo miejsca w gruncie i powstają w doniczkach. Mają tę zaletę, że można je dowolnie przedstawiać i eksponować wtedy, kiedy prezentują się najpiękniej.





### Po co są ogrody?

Ogrody pełnią wiele funkcji. Są miejscem pracy, która nie jest przykrym obowiązkiem, lecz radością, która nigdy się nie znuży. Są miejscem terapeutycznym, pomagającym wyjść z choroby, miejscem edukacyjnym i rekreacyjnym. Izolacja, spowodowana pandemią, pokazała, że wiele osób zainteresowało się ogrodnictwem, uzyskując rewelacyjne wyniki, bez względu na powierzchnię jaką dysponowali. Mieszkanie, balkon czy skrawek ziemi przed blokiem, dawały ludziom możliwość obcowania z roślinami, możliwość spotykania się z innymi mieszkańcami i radość z uzyskiwania plonów. Ludzie kręcili filmiki, fotografowali przyrodę, wymieniali się uwagami na portalach społecznościowych.

Jest coraz więcej programów ogrodniczych w telewizji i w internecie. Także porad fachowców, amatorów i miłośników ogrodów, którzy wspierają radami i pomagają w urządzeniu ogrodu we własnym stylu.

Wyraźnie widać, że wraca zainteresowanie ziołami, dziko rosnącymi roślinami, zarówno w medycynie, w kuchni, jak i w kosmetyce. Zalecane są ogrody pozostawione bez koszenia i sianie łąk z dzikich kwiatów, które kiedyś rosły na poboczach wiejskich dróg. Dzisiaj wszystko ładnie wycięte, sucha trawa zamiera z braku wody. Dużo się mówi o ekologii, ale postępowanie wielu instytucji ludzi jest skrajnie nie ekologiczne, wręcz destrukcyjne.

### Co my możemy zrobić?

Nie używajmy pestycydów, raczej poszerzajmy wiedzę o ptakach, owadach i roślinach. To co rośnie dziko w ogrodzie, może okazać się cennym zieleciem, a „paskudny robal” naszym sprzymierzeńcem.

Moje dzieciństwo to: różowe ślasy, niebieska cykoria podróżnik, żółte jaskry, fioletowe kąkolki, czerwone maki, niebieskie chabry, rumianki. Mnóstwo różnych kwiatów, ziół i grzybów które znałam od dziecka, bo żyłam blisko przyrody. Mimochodem, jakby przy okazji prac w polu, pokazywała mi je babcia i mama. Dzisiaj ja uczę moje wnuki nazw roślin i świadomości tego, że nie można zabijać żadnego żyjątka, bo po coś ono jest potrzebne w przyrodzie. Na całym świecie giną codziennie rośliny i zwierzęta.

Znikają bezpowrotnie, więc trzeba robić wszystko, co możemy, żeby w naszej mikroskali próbować je ocalić. Zostawiamy stare pnie, kupkę gałęzi w kącie ogrodu dla jeża na zimowe miejsce do spania, nie wygrabiamy wszystkiego do gołej ziemi. Kompostujemy zielone odpadki, trawę i liście, Stawiamy poidelka, budujemy domki dla ptaków i hotele dla owadów. Szkoda, że właściciele rozległych działek nie znajdują miejsca na kompostowanie liści. Ja swoje liście zbieram kosiarką, co znacznie zmniejsza ich wielkość i powoduje rozdrobnienie, więc szybciej się rozkładają. A wiosną mam świeży kompost. Tak również robią niektórzy zalesianie, hodujący okazałe magnolie, azalie i rododendrony w kwaśnej ziemi. To dobry sposób na utylizację liści, które chronią przez zimę, a potem, wiosną użyźniają glebę. Niestety, liście dębu, orzecha i olchy zawierają garbniki, hamujące wzrost innych roślin, więc nie należy nimi ściółkować roślin. Powinniśmy starać się być strażnikami ziemi, mając świadomość, że wokół nas tętni życie, funkcjonuje skomplikowany łańcuch pokarmowy i brak jednego ogniwka powoduje tragiczne następstwa.

Wiele osób w Zalesiu dba w szczególny sposób o swoje miejsce wokół domu. W 2023 roku, trzy zalesiańskie ogrody zostały uhonorowane przez Stowarzyszenie Przyjaciół Zalesia Górnego, tabliczką „Piękny ogród 2023”, którą można powiesić w widocznym miejscu, na domu albo ogrodzeniu.

SPZG chciałoby rozdać jak najwięcej takich tabliczek, aby były dla właścicieli powodem do dumy.



W tym roku czerpaliśmy przyjemność z oglądania zalesiańskich ogrodów w następującym składzie: Jolanta Jarosz, Anna Kozłowska, Grzegorz Nowik, Nina Wierzbicka. To była prawdziwa radość obcowania z przyrodą i gospodarzami w pięknym czasie kończącej się wiosny.

Trzy spośród wszystkich pięknych ogrodów, uhonorowane zostały tabliczką. Otrzymali je: Danuta Kupiec, Barbara i Zbigniew Tobiasz, Monica i Paweł Zbiegniewscy, Dziękujemy wszystkim, którzy nas zaprosili, a w szczególności państwu: Małgorzacie Dominko, Mirosławowi Gotowickiemu, Magdzie Majda-Dziewiątkowskiej.

Wszystkich pozostałych mieszkańców, właścicieli i użytkowników ogrodów, zachęcamy do zgłoszenia się w przyszłym roku.

Tekst i zdjęcia zalesiańskich ogrodów: Jolanta Jarosz



# Odślonięcie tablicy



Tablica upamiętniająca strajk szkolny z 1957 roku pojawiła się na ścianie obok wejścia do Szkoły Podstawowej imienia Wspólnej Europy w Zalesiu Górnym.

Jej odsłonięcie odbyło się 13 października 2023 roku. Uroczystość uświetnili potomkowie tych, którzy w 1957 roku okupowali budynek szkoły – Maciej Belina-Brzozowski, Maria Bnińska, Aleksandra Łuczyk, Grażyna Stefura-Kostrzyńska, Maria Wilczyńska.

Byli wtedy dziećmi i to wydarzenie mocno odcisnęło się w ich pamięci. I to oni właśnie odsłanili tablicę. Uroczystość uświetnił poczet sztandarowy wniesiony przez uczniów tej szkoły. Obecne były trzyosobowe delegacje reprezentujące klasy siódme i ósme i oczywiście byliśmy my – ekipa „Historii Odnalezionych” zaangażowana od lat w poszukiwania tak ważnych dla Zalesia Górnego wydarzeń.

Opowieść Macieja Beliny-Brzozowskiego o ocaleniu budynku dla szkoły spisały: Grażyna Kucharska, Alicja Szostakowska, Maria Wilczyńska, a zdjęcia wykonał Ryszard Tyszecki. Opublikowałyśmy ją w piątym numerze „Historii Odnalezionych”.

Tablicę zaprojektował Karol Belina-Brzozowski, wnuk jednego z bohaterów wydarzenia. Wykonał ją Jacek Michalski.

Po uroczystości spotkałyśmy w kwaciarni dwie panie, które kupowały kwiaty. „To dla mamy. Idziemy na cmentarz, aby opowiedzieć jej, co dziś się wydarzyło.”

Ocalona pamięć. Z szacunku dla przeszłości i dla przyszłości.

*Julita Gopsz-Stasiak*

*Zdjęcia: Ryszard Tyszecki*





# Zalesiańskie dróżki

## – Moja dróżka do szkoły

*Dróżka z domu na Domance do szkoły przy ulicy Promiennego Słońca w Zalesiu Górnym.*

**Na Domance, która teraz jest częścią Zalesia Górnego, zamieszkałam wraz z rodzicami i rodzeństwem w listopadzie 1944 r. Wojna dobiegała końca.**

Wszystko wyglądało wtedy inaczej niż teraz. Na przykład nie było jeszcze elektryczności. Latem nie stanowiło to problemu – dni były jasne i długie. Zimą, dla rozjaśnienia ciemności, paliliśmy świece tzw. lojówki. Pamiętam, że po kilku miesiącach rodzice kupili lampę naftową i w domu było już w miarę widno. Taka lampa to był wtedy prawdziwy luksus.

Tamte ulice były zwykłymi leśnymi drogami, które rozjeżdżały koła wozów, udeptywały końskie kopyta i buty pieszych. Domy były przeważnie małe, skromne, ale gdzieś tam widzieliśmy inne, zbudowane z lepszych materiałów – większe i bardziej okazałe, niekiedy ze zdobieniami. Tych pięknych domów było niewiele i dla odróżnienia od pozostałych nazywano je „willami”.

Czas biegnie, wszystko się zmienia, ale ja zachowałam w pamięci tamte drogi, domy, ścieżki, ludzi i moje przeżycia.

W Zalesiu zaczęła się moja edukacja. Nauczanie początkowe prowadzone było w domu pani sędziny Przybylskiej. Dopiero poczynawszy od trzeciej klasy chodziłam do szkoły przy ulicy Promiennego Słońca.

Ta opowieść będzie o mojej drodze do tej szkoły. Dlaczego nazywałam ją „dróżką”? – Może dlatego, że była wąska, a może dlatego, że ja byłam mała. Oto moja perspektywa z tamtych lat.

Na Drodze Dzików, gdzie mieszkałam, były doły i błoto. Dróżka do szkoły prowadziła przez niezabudowane i nieogrodzone działki w stronę ulicy Pionierów, następnie Jelenich Rogów, a stamtąd do ulicy Promiennego Słońca.

Kiedy prosto z mojej działki wbiegałam na dróżkę, po obu stronach, w końcu maja i na początku czerwca, obficie rozkwitały żarnowce, tworząc przepiękny żółty dywan. Zapach żarnowców był ostry, mocny i bardzo charakterystyczny, nie przypominający innych kwiatów. Ten żółty dywan ciągnął się od ulicy Koraliowych Dębów aż do ulicy Jastrzębiego Lotu. Kiedy wpadło się w wysokie i dorodne żarnowce, można było się w nich ukryć i być niewidocznym dla innych.

Tuż przed ulicą Poranku, po prawej stronie dróżki, stała skromna chatka. Mieszkali w niej państwo Flisowie, którzy mieli pięcioro dzieci. Przystawałam tam niekiedy, by wsłuchać się w dochodzący z tamtego miejsca śmiech i gwar – znaki tętniącego życia. Po pewnym czasie odgłosy radości stopniowo malały, aż zapadła kompletna cisza. Dom jakby zmarł. Moja koleżanka, mieszkająca w tym domku, pewnego dnia nie przyszła do szkoły. Dowiedziałam się, że zmarła, a jeszcze wcześniej zmarła jej mama. Potem kolejno odeszły następne dzieci. Wszyscy chorowali na gruźlicę, na którą w tamtym czasie nie było lekarstwa. Pozostał sam pan Flis.

Po drugiej stronie dróżki, w bardzo skromnym drewnianym domku z jednospadowym dachem, mieszkali państwo Babulewiczowie. Domek ten różnił się od okazałych drewnianych domków z dwuspadowymi dachami, które już wówczas zaczęto budować w Zalesiu dla letników.

Za ulicą Poranku, po prawej stronie dróżki, stała willa „Muszka”, a po lewej piętrowa niewykończona willa państwa Rybickich. Na końcu działki z willą „Muszka” mieściły się stajnie. Mijając je, słyszałam radosne rzenie koni. Zawsze koło tych stajni krzątał się starszy pan, który zapewne tam pracował.

Żarnowce zostały w tyle. Zaczynał się gęsty las leszczynowy. Najgorzej było przejść tamtędy, kiedy padał deszcz, bo mokre i giętkie gałęzie leszczyn sięgały prawie ziemi. Trzeba było się przedzierać przez te zarośla i nie udało się uniknąć zmoczenia ubrania. Zanim minęło się dom pani Gruszczyńskiej i wyszło na „wolną przestrzeń” (co oznaczało kilka średniej wielkości dębów rosnących w pewnym oddaleniu od siebie), można było wyżymać całe ubranie. Dlaczego nigdy nie zamokły książki? Otóż dlatego, że ich nie mieliśmy.

W połowie, pomiędzy ulicami Złotej Jesieni i Jelenich Rogów stał drewniany dom pani Gruszczyńskiej, który jako jedyny w Zalesiu miał dzwonek. Był to dzwonek ręczny zawieszony przy domu. Pociągając za sznurek przy furtce, uruchamiał się serce dzwonka, które wydawało metaliczny dźwięk, informując mieszkańców o czyimś przybyciu. Dom był wkomponowany w górkę, która dochodziła aż do ulicy Pionierów.



Budynek szkoły - zdjęcie z kroniki szkolnej.



W czasie deszczu woda spływała z górki, wartkim strumieniem wlewała się na dróżkę i po chwili była już na Drodze Dzików. Począwszy od domu pani Gruszczyńskiej aż do końca mojej dróżki rosły dęby.

Mijałam dom pani Gruszczyńskiej i dochodziłam do ulicy Pionierów (mówiło się wówczas o niej, że jest to „droga bita”). Żółciusięki piasek pokrywał ją od górki, na której teraz stoi dom państwa Nowaków; ścielił się dużą łąką koło domu pani Przemyskiej. W poprzek tej drogi leżały okrągłaki dębowe i sosnowe, jeden przy drugim ułożone na odcinku mniej więcej trzystu metrów. Dzięki temu obciążone furmanki mogły przejeżdżać dalej w stronę pól Jesówki.

Dróżka biegła dalej za ulicą Pionierów. Tu już rosły same dęby obsypane gęsto liśćmi i, trudno ulegających rozkładowi. Mówiono, że to teren malaryczny.

Wychodziłam na ulicę Jelenich Rogów i moim oczom, oczom małego dziecka, ukazywał się przepiękny, piętrowy, drewniany dom. Przy nim stała studnia z okrągłym walcem, owiniętym łańcuchem, i korbowodem. Obok stało wiadro. Kolor tego domu był jasnobrązowy. Piękne okna i drzwi wejściowe otwierające się na dwie strony, dodawały mu uroku. Do tej willi wchodziło się po kilku betonowych schodkach. W czasie Powstania Warszawskiego, przez kilka miesięcy, mieścił się tam prowizoryczny szpital.

Pod koniec sierpnia 1944 r. zmarło w nim dwóch partyzantów. Zostali pochowani niedaleko szpitala pod dębem i sosną, które stoją do dziś. Po wojnie w kwietniu 1946 r. dokonano ekshumacji jednego z partyzantów. Byłam tego świadkiem. Nad rozkopaną mogiłą kurhanową stała najprawdopodobniej jego matka. W pewnym momencie nasze spojrzenia się spotkały. Oczy tej kobiety wyrażały rozpacz, cierpienie i bezsilność wobec losu. Ten obraz jest przy mnie do dziś. Pamiętam też, że świadkami tego smutnego wydarzenia byli wtedy – Czesiek Zając i Janek Milewski.

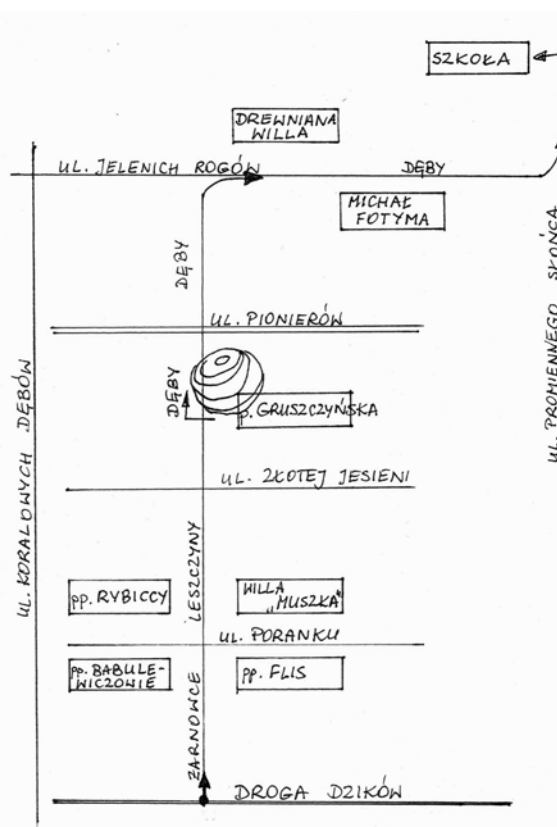
Po wojnie w willi przy ulicy Jelenich Rogów mieszkali lokatorzy, którzy nigdy niczego w niej nie wyremontowali. Budynek na naszych oczach popadał w ruinę. Po odejściu lokatorów, willa przedstawiała przykry widok. Zdewastowana, z zapadniętym dachem. Ocalała studnia cementowa – z korbą, łańcuchem i wiadrem. Teraz nie ma willi, nie ma studni i nie ma ogrodzenia. Wycięto samosiejki i tylko dęby zostały. Idąc od Koralowych Dębów w stronę Jelenich Rogów po lewej stronie widziałam właśnie tę willę, a po prawej zaś, w pięknym małym domku z kolorową werandą mieszkał geniusz klasowy Michał Fotyma.

I tak dochodziłam do szkoły przy ulicy Promiennego Słońca. Budynek szkoły był zbudowany z czerwonej cegły. Miał jedno wejście. Wewnątrz były dwa pokoje i kuchnia.

Pokoje tego domu to były dwie klasy, w nich dwa stoły i kilka krzeseł. Ja siedziałam przy okrągłym stole. Źródłem ciepła dla całego budynku była kuchnia opalana drewnem. Klasy były łączone: trzecia z czwartą i piąta z szóstą. Nie było pokoju nauczycielskiego. Mieliśmy tylko dwie nauczycielki: Kamilę Gruszczyńską i Janinę Strzelecką.

Dzieci przybywało, było więc coraz ciasniej. Chodziło się do szkoły na zmiany. To nie jedyna trudność. Nie było w niej istotnych pomocy naukowych dla nauczyciela i dzieci. O tablicy, kredzie, podręcznikach i innym wyposażeniu można było tylko marzyć. Nauczyciele dzielili się wiedzą, którą mieli. A my musieliśmy to wszystko spamiętać. Dopiero w trzeciej klasie, pojawiły się w szkole zeszyty. Początkowo były tylko w trzy linie. Tych w kratkę nie było. Pierwszy taki zeszyt do matematyki miałam dopiero w piątej lub w szóstej klasie. Pisaliśmy stalówkami w drewnianej obsadce. Na stole był kałamarz z atramentem i w nim maczaliśmy nasze pióra.

Nie mieliśmy również biblioteki. Jedyną książką do czytania było „W pustyni i w puszczy”. Jej jedyny egzemplarz nie był dostępny dla wszystkich. Pierwszym szczęśliwcem, który mógł ją przeczytać był Michał Pietrzykowski.



Lekcje gimnastyki sprowadzały się do gry w piłkę. Najczęściej w dwa ognie. Piłka była tylko jedna i nie była własnością szkoły lecz Leszka Rościszewskiego. Nie mieliśmy nauczyciela Wychowania Fizycznego, nie mieliśmy gwizdka. Naszym boiskiem była ulica. Grałiśmy zawsze na ostatniej godzinie. I wtedy, w tym czasie, nasze miejsca w szkole zajmowały kolejni uczniowie, którzy przychodzili na drugą zmianę.

W Zalesiu Górnym nie było wtedy samochodów i dzieciom grającym na ulicy nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Rower miał tylko jeden mieszkaniec – Jan Górski, specjalista od sieci telefonicznej.

Nie pamiętam, abym miała tornister lub teczkę. Jedynym uczniem, który miał teczkę (w dodatku skórzaną!) z dwoma ogromnymi kieszeniami był Leszek Rościszewski. Teczka ta była obiektem zainteresowania i zazdrości. Była wielka, z wieloma przegródkami i kieszeniami, a Leszek był mały. Idąc, włócił ją za sobą, a ona szurała po ziemi.

Do szkoły nigdy nie szłam głodna. Mieliśmy w domu gorący posiłek przygotowany przez rodziców lub starszych braci. Do szkoły szło się z wielką radością. Najszczęśliwszy był dla mnie moment ukończenia trzeciej klasy. Zdałam na samych piątkach i czwórkach do następnej klasy. Pamiętam radość i dumę mojej matki. W nagrodę poszliśmy odwiedzić znajomych w Chojnowie (państwa Putkiewiczów), którzy wtedy mieszkali u państwa Czechowiczów (przedwojenny wiceminister skarbu). Matka z dumą pokazywała moje świadectwo. Ja też byłam bardzo, bardzo szczęśliwa.

Mięło już wiele lat od moich szkolnych czasów. Zalesie rozbudowało się i zmieniło. Nie ma tamtych domów, tamtych ludzi, nie ma dróżki... ale wszystko to żyje nadal w mojej pamięci. W myślach wciąż wędruję po tamtych ścieżkach.

# „Muszka” znaczy więcej

Wspomnienia pani Teresy Pluty

**Jest w Zalesiu taki dom przy ulicy Poranku nazwany Willą Muszka, który stoi tu od lat trzydziestych ubiegłego wieku. Skąd wzięła się nazwa i czy ma z czymś związek? Nie wiadomo.**

A jak doszło do jej powstania? To wiemy.

Otóż właściciel tych terenów, Jan Racięcki, w 1935 roku wydzierżył w hipotecę Osiedle Zalesie Górne, gmina Jazgarzew, działkę o powierzchni 1848 m<sup>2</sup> i o numerze 281 (źródło: tom I księgi hipotecznej Osiedle Zalesie Górne). Działkę tę kupili państwo Edward i Maria Halscy i wybudowali na niej dom nazwany Willą Muszka. Na ten cel Halski zaciągnął w Banku Gospodarstwa Krajowego dwie pożyczki: pięć tysięcy złotych w 1935 r. i dwa tysiące złote w 1937 r. Obie spłacił i gdy kupowała ją pani Zofia Wieniawska, nieruchomości miała czystą hipotekę. Jak do tego doszło, opowiem w dalszym ciągu moich wspomnień.

Skąd się wzięła rodzina Wieniawskich i jak weszła w posiadanie Willi Muszka?

Rodzina Wieniawskich pochodzi z Lublina. Byli to ortodoksyjni Żydzi. Protoplasta rodu nazywany był, w domu pani Zofii Wieniawskiej, Tobiaszem Pietruszką. Miał stragan vis a vis katedry w Lublinie. Sprzedawał warzywa i owoce. Mieszkał na przedmieściu Lublina nazwanym Wieniawa. Tobiasz miał jednego syna, który został lekarzem i ożenił się z Reginą z Wolffów – katoliczką. Urodziło im się pięcioro dzieci: czterech synów i córka. Dzieci nie były ochrzczone. Kiedy najstarszy syn Julian skończył siedemnaście lat, ojciec zgodził się na przyjęcie chrztu w katedrze lubelskiej, na co są dokumenty. Przyjęli nazwisko Wieniawscy, od „Wieniawa”. Julian, używający później pseudonimu „Jordan”, w pewnym okresie swojego życia zainwestował pieniądze kupując majątek Chlewnia koło Grodziska Mazowieckiego. Najstarszy syn Juliana, Antoni, ukończył szkołę rolniczą i przez wiele lat był zarządcą różnych majątków w Polsce. Kiedy się dorobił (a był bardzo oszczędny) ożenił się z Marią Repphan. Później objął po swoim ojcu majątek Chlewnia, który miał ponad 390 hektarów ziemi, cegielnię i stawy rybne.

Antoni Wieniawski z żoną mieli troje dzieci: Antoniego, Janinę i Kazimierza. W wieku trzydziestu czterech lat żona pana Wieniawskiego zmarła na gruźlicę. Zanim to nastąpiło, pan Wieniawski wybudował dla niej kaplicę w Chlewni, aby nie musiały jeździć do kościoła do Grodziska Mazowieckiego.

Gdy zmarła Wieniawska, dzieci były już prawie dorosłe. Wieniawski, choć miał wiele propozycji ożenku, powiedział, że zrobi to dopiero wtedy, gdy wszystkie dzieci usamodzielnia się. W tym czasie został wiceministrem Skarbu, kupił mieszkanie w Warszawie i tam zamieszkała jego przyjaciółka z córką. Dzieci usamodzielniały się. Najstarszy Antoni ożenił się z Zofią Kamocką. Córka wyszła za mąż za Dąbrowskiego. Najmłodszy syn Kazimierz był w tym czasie studentem w Gdyni. Zginął w 1933 roku w niewyjaśnionych okolicznościach.

Wieniawski ożenił się z Jadwigą (tak ją nazywano, nie znam nazwiska) i zamieszkali razem. Cały czas zarządzał majątkiem Chlewnia, gdzie jeszcze w latach trzydziestych zmieniał profil upraw i hodowli, sprowadzając tam pierwszą kłacz jako kłacz zarodową. Swego najstarszego syna – Antoniego ożenionego z Zofią Kamocką wysłał na praktykę na Pomorze, do pewnego majątku. Zanim państwo młodzi pojechali tam, wybrała się tam ciotka, żeby przygotować dwór na ich przybycie. Zarządziła świniobicie, żeby mieli gotowe jedzenie, kiedy przyjadą. Gdzieś kiedyś słyszała, że się mięso

wędzi, ale nie wiedziała, że najpierw trzeba je zapeklować. Wbrew sąsiadom, którzy jej mówili, jak należy to zrobić i tak zrobiła po swojemu. Powiesiła świeże mięso w wędzarni. Było lato, w mięsie szybko załęgły się muchy. Ta swoista wędzonka była do wyrzucenia.

Młodzi Państwo Antoni i Zofia Wieniawscy mieszkali w majątku na Pomorzu pięć lub sześć lat. Pewnego razu ojciec Antoniego przyjechał na inspekcję. Kiedy przekonał się, jak jego syn potrafi dobrze gospodarzyć, postanowił przepisać mu majątek Chlewnię, a sam przeniósł się do Warszawy. Antoni i Zofia Wieniawscy mieli dwoje dzieci: Juliana (nazywanego Julkiem) i Marię (nazywaną Marylką).

Wybuchła wojna. Antoni Wieniawski – ojciec był rotmistrzem rezerwy 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich i został zmobilizowany. Zginął w 1939 roku jako ostatni z oficerów Pułku na terenie Królikarni i tam został pochowany. W 1940 roku został ekshumowany i pochowany w parku w Chlewni. Dopiero po wojnie ponownie ekshumowany został złożony w grobowcu rodzinnym na Powązkach (wejście bramą IV).

Po śmierci Antoniego Wieniawskiego pozostała żona, pani Zofia Wieniawska i dwoje dzieci: Julian i Maria. Nad dziećmi zaczęła sprawować pieczę Rada Familijna. Składała się ona z obywateli ziemskich z sąsiedztwa, niespokrewnionych z rodziną, którą się opiekowali. W tej Radzie zasiadali m.in: pan Świątkowski, Stanisław Zieliński, mecenas Rembertowicz, a przez pewien czas również pan Fryderyk Zoll. W majątku nadal „rządziła” ciotka. Tym razem postanowiła zabić starego buhaja, zasolić w dwóch beczkach mięso, a potem je zjeść. Niedługo po tym zjawiła się Rada Familijna, powiadomiona przez jednego z lekarzy z Grodziska Mazowieckiego. Dzień wcześniej pani Zofia Wieniawska przyszła do niego z córeczką, która miała spuchniętą stopę. Dziecko tak nie lubiło ciotki (i z wzajemnością), że nie poprosiło o nowe buty i chodziło w starych, aż całkiem zdarła się podeszwa i w stopę wkradło się zakażenie. Lekarz zwrócił uwagę pani Zofii, że chyba za bardzo oszczędzają...

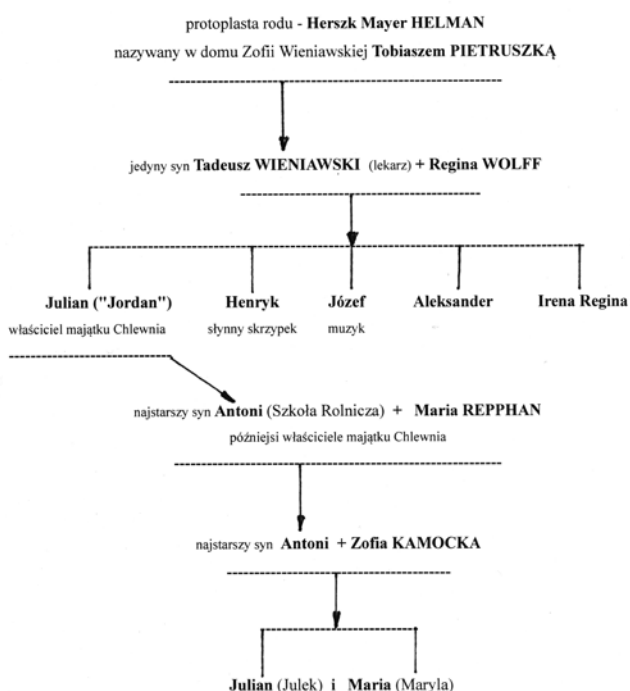
W czasie wizyty Rady Familijnej ciotka postanowiła zrobić pieczeni z tego starego wołu. Panowie siedzieli i przeżuwali mięso, które nie nadawało się do jedzenia. W pewnym momencie jeden z członków Rady powiedział tak: „ja rozumiem, że na ceresie i na smalcu pieczenie ciastka, placki i naleśniki i po jednej stronie półmiska kładzecie usmażone na maśle dla starszych pań, a po drugiej stronie te na smalcu i ceresie dla dzieci i pozostałych mieszkańców majątku. My się na to nie zgadzamy. Proszę nam pokazać,

Zofia i Antoni Wieniawscy – archiwum prywatne.





## Rodzina WIENIAWSKICH



gdzie jest to mięso". Po czym kazali je wyrzucić, a panią Zofię poprosili, żeby miała większą pieczęć nad tym, co robi jej siostra.

W majątku Chlewnia odbywały się spotkania Delegata Rządu RP na Uchodźctwie z przedstawicielami podziemnej administracji. W 1940 r. przyjechał z Londynu delegat i przekazał pani Wieniawskiej prośbę, żeby kupiła dom gdzieś poza powiatem błońskim, bo nie wiadomo z której strony przyjdzie wyzwolenie. Podobnego zdania była Rada Familijna, która postanowiła za nadwyżki pieniężne, jakie przyniósł majątek Chlewnia, kupić dom, aby w razie kolektywizacji matka i dzieci miały gdzie mieszkać.

W tym czasie w Zalesiu mieszkali znajomi rodziny Wieniawskich, państwo Wisłocy. W rodzinie Wieniawskich zakazano robić interesy z panem Wislockim, podobnie jak zakazane było picie alkoholu i zakazana była gra w karty (oprócz stawiania pasjansa). Mimo to postanowiono przyjechać do Zalesia, bo w tym czasie wojny nie było wiele możliwości zakupu nieruchomości. W Zalesiu Górnym były do sprzedania dwie wille: Leona Mierkowskiego (obecna własność państwa Rogalów przy ulicy Sarenki) i państwa Halskich przy ulicy Poranku. Willa przy Sarenki była murowana, przy Poranku drewniana. Ciotka zdecydowała w 1941 roku o zakupie willi przy ulicy Poranku.

Willi Muszka była budynkiem wyróżniającym się wśród innych domów w tamtych czasach i dlatego była nazwana willą. Dom był drewniany, piękny, w kolorze wpadającym w niebieski. Miał drewniane okiennice na zewnątrz, a małe okienka piwniczne zabezpieczone były ramką z charakterystyczną siatką.

Część pieniędzy, jaka została po zakupie Willi Muszka, ciotka zainwestowała w złote obrączki, które zostały wszyte w pasek od spodni.

Dlaczego kolejny raz o niej mówię? Bo w każdej rodzinie znajduje się czarna owca. Do czarnych owiec rodziny Wieniawskich należała ta ciotka. Wszystkie dochody i rozchody przechodziły przez jej ręce. Ona decydowała o wszystkim i niestety jej poczynania przeważnie nie były korzystne dla rodziny. Twierdziła, że musiała zajmować się wszystkim, by oszczędzać zdrowie pani Zofii Wieniawskiej, pogrążonej w żałobie po stracie męża.

Gdy kupiono Willę Muszka, to ciotce przydzielono przewiezienie najcenniejszych mebli (antyków) z Chlewni do Zalesia Górnego. Jednak część mebli nigdy nie dotarła do Zalesia. Ciotka twierdziła, że zostały u jakiegoś księdza, w jakiejś plebanii, w jakiejś wsi, że to była ciemna noc, że nie pamięta gdzie... Pozostała część mebli znalazła się w Zalesiu, bo następne transporty z Chlewni nadzorował stangret Jan.

Przyszła 1942 rok. Należało spłacić ostatnią ratę zadłużenia, jakie ciążyło na hipotece majątku Chlewnia. Pani Zofia miała szczegółowe instrukcje wydane przez męża, odchodzącego na wojnę w 1939 roku, co i gdzie siać, gdzie odwiedzić buraki cukrowe itp. Data spłacenia ostatniej raty pożyczki była wyznaczona i dwukrotnie w dokumencie podkreślona. Ciotka zrobiła awanturę – „Zosiu, na pewno nie zaniesiemy Niemcom pieniędzy!”. Pani Zofia na to „mam ściśle instrukcje od męża” i następnego dnia pojechała do banku ze stangretem Janem i wpłaciła pieniądze. Od tej chwili majątek Chlewnia był jedynym majątkiem na Mazowszu z czystą hipoteką.

W tym czasie Julian, syn pani Zofii, został aresztowany i wywieziony do Niemiec, do ołtagu.

Przyszła 1944 i zaczęto wprowadzać w życie reformę rolną. Panie Wieniawskie zostały wyrzucone z Chlewni. Ciotka nie chciała ustąpić i jeszcze przez około dwa lata tam mieszkała. Zanim pani Zofia Wieniawska opuściła Chlewnię, to wina i wódki zostały zatopione w stawach, a srebra zakopane pod ogromną lipą. Wiedziała o tym tylko pani Wieniawska, jej córka i stangret Jan.

Nastąpiła parcelacja majątków. Byli właściciele nie mieli prawa zbliżyć się do majątku w promieniu 30 km. Mogli chodzić dookoła jak ten pies Anielki – Karusek. Tylko dla Karuska skończyło się to szczęśliwie – odnalazł Anielkę. Spadkobiercy majątku Chlewnia mogli tylko wspominać, to co mieli i co utracili.

W momencie kiedy rozpoczęto parcelację, stangret Jan był na tyle lojalny, że przyszedł do pani Zofii i zapytał, czy on ma wziąć ich ziemię czy nie. Pani Zofia powiedziała mu, który kawałek jest najlepszy i on tę część wziął. Wieniawskie zamieszkały u drugiej ciotki, u pani Ejsmondowej w Warszawie w kamienicy przy Placu Trzech Krzyży. Mieszkały tam do 1948 r.

W Willi Muszka w Zalesiu zamieszkał pan Edward Zabłocki (inżynier, budowniczy kolei transsyberyjskiej) i „Żozio” – Józef, mąż ciotki. Między panami były awantury. Na przykład pomimo, że ich sypialnie mieściły się przy łazience, to Józef siusiał do nocnika. Na to Edward mówił „proszę pana, to niemoralne”, a Józef odpowiadał: „proszę pana, ale mnie na to pozwoliła żona”.

Do Zalesia sprowadzono dwie kłaczki zarodowe i ogiera. Ogier nie był własnością państwa Wieniawskich. Żywność dla koni i ludzi przywożona była z Chlewni.

Przyszła koniec wojny, władza ludowa, referendum „3 x tak”, reforma rolna, która była realizowana aż do 1947 roku. Pan Józef wyprowadził się z Zalesia. Transporty z Chlewni już nie dochodziły. Zniknął ogier i przepiękne kłaczki. Nie wiadomo, co się z nimi stało. Nie zabrali ich na pewno ani Rosjanie, ani Niemcy, bo po wojnie były one jeszcze przez pewien czas i zajmował się nimi inżynier Zabłocki. Pozostały tylko szopy, które nieremontowane rozpadły się. Pan Zabłocki został sam, w nędzy, bez żadnych środków do życia, bez rodziny. Dzięki dobrym ludziom nie zmarł z głodu. Dokarmiali go państwo Borkiewiczowie, dzielili się z nim również Babulewiczowie, którzy uprawiali warzywa i owoce na swoich działkach. Na interwencję, nie wiadomo czyją, wieść dotarła na Plac Trzech Krzyży do pań Wieniawskich i wtedy postanowiły wrócić do Zalesia. Obie panie, Zofia Wieniawska i jej córka Maria, już wtedy pracowały. Zaopiekowały się panem Zabłockim, który zmarł na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku i został pochowany na cmentarzu w Jazgarzewie.

• • • Dlaczego tak długo i tak ciepło mówię o tej rodzinie?

• • • Przy tych paniach nauczyłam się mówić poprawnie (mimo, że rodzice też uczyli), ale przede wszystkim nauczyłam się być inna niż moje otoczenie. Panie Wieniawskie dawały mi do czytania książki, które przyjechały z Chlewni i zajmowały cały strych w Willi Muszka. Były to np. książki Jamesa Olivera Curwooda, Karola Maya, Marii Rodziewiczówny, Sigrid Undset i innych znanych pisarzy. Ja to wszystko dostawałam od nich. Poza tym, mimo że ja znałam słowo „Katyń” (bo moi rodzice o tym doskonale wiedzieli) to w tym domu, właśnie u nich, chociaż było to słowo zakazane, całymi godzinami o tym rozmawialiśmy. Wiele nazwisk, które do dziś pamiętam, właśnie poznałam w tym domu. One przekazały mi ducha patriotyzmu – że Polak ma polską ziemię, że ją kocha, że jest u siebie... Te wszystkie spędzone tam setki godzin były cudowne. To był dom, gdzie ludzie byli, w mojej ocenie, tak bardzo, bardzo szlachetni, ciepłi i uczynni. Wciąż czuję do nich ogromny szacunek i wdzięczność.

• • • Gdy doszło do Londynu, że panie Wieniawskie żyją w biedzie, to koleżdy Antoniego ofiarowali pani Zofii pomoc. Pani Zofia napisała długi list, w którym serdecznie podziękowała i powiedziała, że jest jej na pewno lepiej niż wielu innym.

• • • Po wojnie, w latach 60. przyjechały do Polski Lilpopki (bo Wieniawscy byli skoligaceni z Lilpopami) i jadąc do Zalesia przewiozły dwa wianki papieru toaletowego. To był wtedy bardzo trudno dostępny towar i na ogół zamiast niego używano liści łopianu lub pocięte na kawałki i zawieszane na gwoździu gazety „Trybuny Ludu” lub innej „Prawdy”. Co zrobiła Zofia Wieniawska? Nie mając pieniędzy, bo to już było dwudziestego dnia miesiąca, przysłała do mojej matki i pożyczyła 100 zł, żeby im oddać za ten papier toaletowy. To były fakty. Ona powiedziała „my mamy, nas stać, my mamy papier toaletowy”. Jeszcze jeden przykład – co pięć lat odbywają się w Poznaniu konkursy skrzypcowe imienia Henryka Wieniawskiego. Komitet Organizacyjny odnalazł w Kanadzie potomkinię Henryka Wieniawskiego i zaproszono ją do Poznania. Ona wiedziała, że ma w Polsce rodzinę i poprosiła, żeby Komitet odnalazł jej bliskich. I oni to zrobili, bo dwa konkursy wcześniej gośćmi honorowymi byli Julian i Maria Wieniawscy oraz Maryśka Dąbrowska, znane więc były ich adresy. Kanadyjska potomkini przyjechała do Zalesia po tym konkursie i chciała „nędzaczom” (bo wiadomo polska nędza) pomóc. A ona w Kanadzie zajmowała się łowieniem pstrągów. Co sprzedawała, to zarobiła i ona uważała, że Wieniawskim trzeba pomóc. Ale te panie odmówiły i znajomość urwała się.

• • • W czasach komunizmu zawsze raz w roku była odprawiana msza święta anonimowa za rokitańskich szwoleżerów w kościele Św. Krzyża. Nikt o tym oficjalnie nie wiedział. Marylka zawsze w niej uczestniczyła, ale nie siedziała w jednej ławce ze swoim bratem. Bali się, bo raz że wszędzie była Służba Bezpieczeństwa a dwa, że w Londynie był ich kuzyn Raczyński. Tak więc ona siedziała pod chórem, a on w środku, w tłumie ludzi.

• • • Żeby oddać jeszcze bardziej charakter tego domu i tamtych czasów muszę powiedzieć, że tu wszyscy byliśmy zżyci: Zawiejowie, Jelnicka, Wieniawscy... a zawdzięczamy to mojej matce, bo ona miała wyjątkowy charakter i cementowała nasze środowisko. Sąsiedzi



Marylka Wieniawska z synem Antkiem – archiwum prywatne.

bardzo ją szanowali. Wzajemnie pomagaliśmy sobie i wspieraliśmy się w trudnych chwilach. Takie było tutaj życie.

Po wojnie

1. Ciotka przepadła razem z obrączkami. Osiedliła się na Warmii.
2. W latach pięćdziesiątych pani Zofia Wieniawska podarowała dwa piękne srebrne lichtarze kościołowi w Zalesiu Górnym jako votum dla Św. Antoniego.
3. W latach osiemdziesiątych Marylka Wieniawska pojechała do majątku Chlewnia, który oczywiście był już Państwowym Gospodarstwem Rolnym (PGR). Dyrektor PGR zorientował się od razu kim ona jest. Na prośbę Marylki zgodził się, aby mogła wejść do środka. Podeszła do schodów, przejechała ręką po dolnej stronie poręczy i rozpląkała się. Chciała sprawdzić, czy to są te ich ukochane schody, gdzie brat jako mały chłopiec wyciął nożem swoje imię (za co oczywiście był skarcony). Był to bardzo wzruszający moment. Wspomnienie dawnego, dobrego życia w pięknym dworze zaprojektowanym i nadzorowanym na etapie budowy przez Władysława Marconiego.
4. Wieś, w której był majątek Chlewnia nosi od 1965 roku nazwę Chlewnia. Dwór i kaplica na terenie parku są obecnie remontowane.
5. Spadkobiercy oficerów 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich wciąż pamięć swoich przodków i spotykają się raz w roku w Wawrze, gdzie odprawiana jest msza za dusze szwoleżerów poległych w walce.
6. Willa Muszka, mimo upływu lat, zachowała swój pierwotny wygląd.

Te wille w Zalesiu były dla nas równie piękne jak wille w Świdrze czy w Otwocku, tylko mniejsze od nich i nie były wynajmowane w sezonie dla letników, by potem stać pusto. One żyły cały czas.

Niektóre, jak Willa Muszka przy ulicy Poranku, stoją do dziś. Wciąż budzą wspomnienia dawnych czasów i ludzi, którzy w nich mieszkali.

Spisała Jadwiga Ilczuk

Zespół redakcyjny *Historii Odnalezionych* serdecznie dziękuje **Magdzie Mikołajczak-Olszewskiej** za nieocenioną pomoc w tworzeniu Biuletynu. Magda dzieliła się z nami swoim doświadczeniem dziennikarskim, pomagała w wyborze tematów, inspirowała nas i zmuszała do niebanalnego twórczego myślenia.

Dziękujemy pani **Magdzie Woźniak** za serdeczne wsparcie i pomoc w uzyskaniu funduszy na wydanie pisma.

Panom z **Wine&More** dziękujemy za możliwość spotkań w każdym terminie, gościnność, miłą atmosferę i wyrozumiałość.



# Był sobie pies

**Od paru dni czułem się wyraźnie gorzej. Byłem jakiś słaby i nie mogłem jeść. Leżałem i posypiałem na swoim domowym legowisku. Moja pani była bardzo smutna i żeby ją pocieszyć, udawałem, że mam dość siły, aby wyjść na spacer. Dzisiaj późnym wieczorem zaliczyliśmy jeszcze jeden krótki spacer. Całe szczęście, że krótki, bo wieczór był mroźny. W końcu to zima, grudzień. Pierwszy dzień po Bożym Narodzeniu.**

Leżę sobie w kącie na swoim legowisku i wspominam stare czasy.. Nie, nie chce mi się wspominać schroniska, nie kojarzy mi się najlepiej. Powspominam sobie moje życie w Zalesiu Górnym.

Zaczął się od tego, że w 2010 roku ze schroniska na Paluchu adoptowała mnie pewna zalesiańska rodzina. Miałem własną budę, jedzenia mi nie brakowało, ale często na wiele dni zostawałem sam na działce. Tęskniłem za towarzystwem. Nauczyłem się wymykać za ogrodzenie i na własną łapę układać sobie życie. Lubilem wyskoczyć na kielbaskę pod jatkę albo na bułkę pod delikatesy. Najfajniej jednak było pod szkołą, kiedy dzieci wychodziły do domu. Dostawałem od nich pyszne kanapki. Dzieciaki nie musiały się dzięki mnie tłumaczyć rodzicom, dlaczego nie zjadły drugiego śniadania. Czasem się nawet ze mną bawiły.

Na noc wracałem do swojej budy, ale tak naprawdę byłem bezdomny, bo cóż była warta moja własna buda, kiedy nikt mnie nie kochał.

Kilka razy straż miejska próbowała mnie zgarnąć i oddać do schroniska, ale udało mi się uciec. Raz nawet wybronili mnie sami mieszkańcy. O, jakże przyjemnie było słyszeć, jak mówili o mnie, że jestem przyjazny, mam dobre maniere i nikomu nie przeszkadza moja psia osoba. Ktoś nawet dodał: – Panie, ten pies to prawdziwy gościu!

Od moich pierwszych zalesiańskich właścicieli zabrała mnie miła starsza pani. Dbała o mnie, dogadzała, miałem nawet swój pokój. Idylla nie trwała bardzo długo, starsza pani zmarła. Jej córka starała się zapewnić mi opiekę, ale widziałem, że nie daje rady sprostać różnym obowiązkom i jeszcze opiekować się psem, to znaczy mną, Rudolfem.

Kończyło się lato 2020 roku. Czułem, że zapowiada się kolejna zmiana w moim życiu. Bałem się, wyobrażałem sobie różne rzeczy. Bezdomność, przypadkowe legowiska byle gdzie i dorywcze dokarmianie już nie miały smaku romantycznej wolności, jak kiedyś. I co z tego, że ludzie w Zalesiu mnie lubili? Głaskali mnie, poklepywali, często podsuwali smakołyk, ale potem szli do swoich domów. Czy będę kiedyś miał na własność budę ze stałym adresem? Co będzie, jak przyjdzie zima?

Któregoś dnia do domu, gdzie mieszkałem, przyszła pani, którą w Zalesiu widywałem z rudym psem imieniem Toby podobnym do charta. Moja właścicielka wręczyła jej smycz i usłyszałem: – Rudolf, idziemy do domu!

Powiedziała to spokojnie i łagodnie, a imię Rudolf wydało mi się najpiękniejsze na świecie dla takiego psiego koleżki, jak ja.

Do domu. Do domu? To jednak będę miał dom? I tego rudego kolegę?

Wcześniej, ilekroć go z nią widziałem, biegłem się przywitać, bo chciałem się z nim zakumplować, ale zwykle na machaniu ogonami i obwąchiwaniu się kończyło. On miał swoją panią i dom, do którego wracał, a ja? Cóż ja? Podstarzały kundel, tramp, wsiowy włóczęga, choć od razu dodam, że ta moja bezdomna wolność miała swoje uroki.

Ciepły dom, oraz stałe posiłki dla jegomościa, który miał już trochę lat na grzbiecie, były cenniejsze od przygód i darmowego



Rudolf na spacerze – archiwum prywatne.

przysmaku. Częste spacery ulubionymi drózkami i spotkania ze starymi czworonożnymi kumplami przekonały mnie, że inaczej wcale nie znaczy gorzej, że gdzie inaczej też może być dobrze.

Polubiłem ten duży dom, a jeszcze bardziej ogród, gdzie mogłem wykopać dołek i wygrzewać się w słońcu.

Nie powiem, ciągnęło mnie czasem do mojej dawnej wolności i parę razy wymknąłem się, by odwiedzić stare miejsca, ale Basia wiedziała, gdzie mnie znaleźć i zawsze grzecznie wracałem za nią do domu.

Za żadne skarby nie chciałbym stracić tego domu i jej zaufania.

Barbara... moja droga opiekunka. Bardzo lubię, jak mówi o Tobym i o mnie „moje chłopaki”. Czasem przygląda mi się z łagodną czułością. Ciekawe, co sobie wtedy o mnie myśli? Czy myśli, że jestem ładny? Mam trochę smutny wyraz pyska, sporą bliznę na nosie, oklapłe ucho i zbyt dużo sierści. Uwielbiam, jak mnie drapie za uchem albo czesze. Wyczesaną sierść kładzie na pobliskim świerku, a ptaki zabierają ją na gniazda. Czy w domu, czy to w ogrodzie lubię być w jej pobliżu. Czuję się wtedy bezpiecznie. Lubię też spać w jej pokoju.

Od samego początku starałem się ze wszystkich moich psich sił jej się podobać. Nie obszczekiwałem i nie gryzłem ludzi i zwierząt. Nie lubiłem tylko jeża, który mieszkał w ogrodzie, ale wytłumaczyłem mu, że lepiej mu będzie gdzie indziej. Chyba posłuchał mojej rady, bo się wyniósł.

Czasem instynkt brał górę nad manierami. Miałem parę wpadek, ale Basia potrafiła wybaczać. Wybaczyła mi, jak zwędziłem kawał wołowiny z wbitym widelcem, a nawet wtedy, kiedy pożarłem ostatni kawałek sernika, który postawiła na stole Ania, córka Basi. Ale tak naprawdę, to bardzo starałem się nie sprawiać kłopotów.



Rudolf u siebie – archiwum prywatne.

Nie jestem i nie byłem wybredny. To nie zawsze cieszyło Basię, bo często trudno mi było opanować odruch chapnięcia z ulicy

czegoś, co mogło nadawać się do jedzenia. W trudnych bezdomnych miesiącach nauczyłem się nie gardzić takimi znaleziskami, dlatego Basia pilnuje, żebym na spacerach nie zjadał czegoś, co mogłoby mi zaszkodzić.

Ostatecznie czasami pozwala mi przynosić do domu jakąś zdobycz, na przykład bułkę, kawałek ciasta lub pizzy, bo rozumie, że moja dusza włączył się jeszcze we mnie i tego potrzebuje.

Kupuje mi kalarepę, brukselkę i paprykę. Pamięta, żeby tego w domu nie zbrakło.

Zawsze, gdy się źle czuję, albo coś mnie boli, chowam się pod tarasem, żeby nie martwić Basi. Ale ona zawsze wie, kiedy trzeba mi pomóc.

Kiedyś, kiedy jeszcze wiodłem życie psiego trampa, potrącił mnie samochód, gdy przebiegałem ulicę Pionierów. Po tym wypadku powstały duże zmiany w kręgosłupie, które od czasu do czasu wywoływały silny ból. Moja kochana opiekunka znalazła lek, który mi skutecznie pomagał. Wozila mnie do milej pani doktor, a ta robiła zastrzyk i znów było dobrze.

Za oknem zimna grudniowa noc, a tu ciepło i spokojnie. Jest mi dobrze.

A swoją drogą, ciekawe, czy tak samo jak tu, jest w psim rajcu?

Rudolf odszedł do swego psiego rajcu 27 grudnia 2022 roku.

*Elżbieta Nowińska*

## Společne Liceum w Zalesiu Górnym

**Společne Liceum w Zalesiu Górnym powstało we wrześniu 1990 roku ramach Společnego Towarzystwa Oświatowego. Działo przez 13 lat, do czerwca 2003 roku. Było to dzieło z kolei liceum społeczne w Polsce, utworzone przez grupę społeczników – nauczycieli i rodziców**

Tych wszystkich, którzy pamiętają i miło wspominają szkołę, prosimy o wznowienie kontaktu z nami, opisanie swoich wspomnień, związanych ze szkołą, jej uczniami i nauczycielami.

Napiszcie w jakim miejscu życia jesteście, Chcemy zebrać wspomnienia w oryginalnej książce, wspólnie napisanej. Spotkajmy się

znowu we wspomnieniach. Pomysł napisania książki o 9 SLO powstał w umysłach rodziców i nauczycieli naszej szkoły. Może pamiętacie kto był w waszej klasie, napiszcie z kim się przyjaźnicie do dziś. Spróbujcie odnaleźć nieznanne nam zdjęcia i przysłać na e-mail:

irenagroch@gmail.com lub szkoła.racza@wp.pl

Czeka na Was grono przyjaciół szkoły!  
Zapraszamy!

*Irena Grochowska, Jolanta Hryniewicz*



Redakcja i przyjaciele – zdjęcia Julita Gopsz-Stasiak.

## HISTORIE ODNALEZIONE



edycja szósta, grudzień 2023

ISBN 978-83-961597-6-2



Projekt sfinansowany ze środków gminy Piaseczno.

Redakcja: Magda Mikołajczak-Olszewska, Julita Gopsz-Stasiak, Jadwiga Ilczuk, Jolanta Jarosz-Hryniewicz, Grażyna Kucharska, Barbara Migaj, Elżbieta Nowińska, Teresa Pluta, Alicja M. Szostakowska, Maria Wilczyńska, Nina Wierzbicka, Ania Żółkiewska

Koordynatorka projektu: Julita Gopsz-Stasiak

e-mail: historie.odnalezione@gmail.com

Skład i druk: SFERA – Jolanta Dec, tel. 601-37-65-75